

# PODREK HUMORYSTYCZNY



<http://rcin.org.pl>

32.

<http://rcin.org.pl>

# PODAREK HUMORYSTYCZNO-SATYRYCZNY

PRZEZ

EDWARDA BUKOWSKIEGO.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat 72  
00-777 Warszawa  
Tel. 26-68-69, 26-68-61 w. 42

WARSZAWA.

NAKŁADEM J. KORZENIEWSKIEGO, DUKARZA.

1875.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.

Варшава, 20 Ноября, 1874 года.

418.

---

Druk J. Korzeniewskiego ulica S-to-Jerska Nr. 12 w Warszawie.

\*

\*

\*

. . . . . W łez i cierpień kole,  
Kiedy boleść drga w duszy a smutek na czole,  
Gdy w krwawej walce z życiem opadają dłonie  
A czczość, gorycz, nudota, falują nam w łonie;  
Wtedy, wtedy nam śmiechu potrzeba jedynie,  
Śmiechu, zabawy czystej — a smutek przeminie.  
Kiedy znów namiętności, głupota, złość ludzka,  
Śmiechem brudu, rozpusty, przystroją nam usta,  
Kiedy duszę owieją zbytków, szaleństw wiry,  
Wtedy . . . wtedy nam znowu potrzeba satyry.  
Wpływ śmiechu, wpływ ironii, więcej pewnie działa  
Na ludzi, niż moralnych uwag księga cała.

AUTOR.

W tym roku w naszym kraju  
nie było dnia w który nie powstałby  
niektóryś z nas, który chciałby  
zrobić coś dobrego dla swojego  
państwa. W tym roku w naszym kraju  
nie było dnia w który nie powstałby  
niektóryś z nas, który chciałby  
zrobić coś dobrego dla swojego  
państwa. W tym roku w naszym kraju  
nie było dnia w który nie powstałby  
niektóryś z nas, który chciałby  
zrobić coś dobrego dla swojego  
państwa.



# OBRAZKI

## Z NASZEGO MIASTA.

—306—

\* \* \*

Stara to piosnka że na tym świecie  
Gramy komedye, jak nam potrzeba,  
Często z zabawy, często dla chleba...  
Z próżności, z pychy najczęściej przecie.  
Oj! oj! ta próżność... oj! oj! ludziska!...  
Sami się sobie przypatrzmy zbliska.

\* \* \*

Stara to piosnka... że młodzież złota,  
Raczej miedziana... ale bogata,  
Drwi z uboższego człowieka brata;  
Bo co nie w złocie, to już hołota??  
Oj! oj! złotnisie... oj! oj! ludziska!  
Sami się sobie przypatrzmy zbliska.

\* \* \*

Stara to piosnka... że dziś niestety!  
Kobiётki polor najwyżej cenią;  
Każą do serc swych mówić kieszenia,  
Choć taki język krzywdzi kobiety.  
Oj! oj! piękności!... oj! oj! ludziska!...  
Sami się sobie przypatrzmy zbliska.

\* \* \*

Stara to piosnka... że dziś mężowie,  
Wszystkie godziny za domem pędzą;  
Gdzie kawiarnianym dymem się wędzą  
Gdzie narażają bonor i zdrowie.

Oj! oj! mężowie!... oj! oj! ludziska!..  
Sami się sobie przypatrzcie zbliśka.

\* \* \*

Stara to piosnka... że młódź bezwąsa,  
W lichych miłostkach marnuje lata;  
Cóż wynędzniały zrobi dla świata,  
Gdy młode siły z siebie wytrząsa?  
Oj! oj! dzieciaki!... oj! oj! ludziska!..  
Sami się sobie przypatrzmy zbliśka.

\* \* \*

Stara to piosnka... że w ludzi kole,  
Przykłady zawsze idą nam z góry;  
I jakie matki takie też córy,  
Na czyny starszych patrzy pacholę.  
Oj! oj! przykłady!... oj! oj! ludziska!..  
Sami się sobie przypatrzmy zbliśka.

---

## W kamienicy.

Na pierwszém piętrze bogato, szumnie,  
Mieszka pan Flusgold, znacie go przecie,  
Głowę zadziera wysoko, dumnie,  
Za filantropa uchodzi w świecie,  
Jeździ powozem, szampana pije...

Ten z lichwy żyje.

Na drugiém piętrze — wykwintnie, ładnie,  
Mieszka kobieta, ma lat czterdzieści,  
Kto na nią spojrzy, zrozumie snadnie,  
Czém dla tej pani jest wstyd niewieści.  
Młodzież się u niej zbiera z ochotą...

Handluje cnotą.

Na trzeciém pięttrze — suto, wygodnie,  
Mieszka jegomość dziwacznej treści,  
Dnie całe sypia, jak mówią wieści —  
Dryndami jeździ, stroi się modnie,  
U Stępkowskiego śniadania jada,  
W karty okrada.

Na czwartém pięttrze — ojciec rodziny,  
Przez całe życie pracował krwawo,  
Maszyna rękę wzięła mu prawą,  
Więc umierają z głodu dzieciny.  
Z kielicha cierpień okropnie pije  
Z jałmużny żyje.

A na poddaszu — to już rzecz jasna,  
Że izba brudna, ciemna i ciasna,  
A w niej schyłony nad książek stosem,  
Człowiek nauki bojuje z losem,  
Dwa razy w tydzień obiady jada...  
Ten wiersze składa.

---

## Grzechy bratnie.

A było to w piwnicy. Na ziemi w barłogu,  
Ojciec pięciorga dzieci, oddał ducha Bogu.  
Łachmany zwiędłe ciało oszpeciły strasznie,  
A różne o tym zmarłym prawią ludzie baśnie.  
Jedni mówią, że młodość przepędził boleśnie,  
Że szedł drogą nauki i poezyi drogą,  
Że łudził się przyszłością i nadzieją błogą,  
Że ludzie rozumieją go później, czy wcześniej.  
Że z pokrwawioną piersią brnął w artyzmu knieje  
I że świat zgłębił ducha, zdeptał mu nadzieje.  
Inni mówią... że upadł przez wysiłek pracy,  
Że niemoc ta przywiodła nędzę i łachmany.  
I różnie mówią jeszcze równi mu biedacy,  
Biedacy, bo z niedolą nieznają się pany.

Ja niewiem — lecz widziałem, jak trup ojca siny,  
Łzami dzikięj rozpaczy obmyły dzieciny,  
Jak wzywały pomocy... a przecie nikt zgola,  
Pociechą nie rozjaśnił sierocego czoła;  
Nikt nie podał im chleba, nie ogrzał ich jamy.  
Oh! ludzie! wy lubicie komedye nie dramy.

---

### Może to bajka?

Pani lubiła przepych, wykwinność magnacką,  
Pałacyk jój to iście nowszej sztuki cacko...  
Było w nim rzeźb... płaskorzeźb i sług co niemiara,  
Młodzieży... bo lubiła młodzież pani stara.  
Pani miała gotówkę i grubą gotówkę,  
Nie dziw, że lwy bez *grzywien* otaczali wdówkę.  
Ten i ów w danęj chwili z bogatęj szkatuły,  
Wyciągnął trochę zmiętęj bankowęj bibuły.  
A że tych wyciągaczy była wielka chmara,  
Nie dziw, że się z gotówki wysypłała stara.  
Po gotówce trza było pozaciągać długi,  
Lichwiarze obdzierali, okradaly sługi,  
Aż w lat też kilkanaście w skutek znajomości,  
Znalazła jejmość locum... w Dobroczynności.

---

### Przemiana.

Ona była bogata, on goły szkaradnie;  
Różnicę tę zmniejszyła ta znowu różnica,  
Że ona miała stare i wywiedle lica...  
A on wyglądał świeżo... młodo... nawet ładnie.  
Pobrali się — i dziwna nastąpiła zmiana,  
On zestarzał się, wychudł cierpieniem targany;  
Klął wszystkie pozłacane i złote kajdany,  
A ona była wabna... wabna i rumiana.

## Piękny bal!

Mam piękny bal! ledwie zaświta,  
Wsusza się postać w hałas owita,  
O rzetelności długo coś prawi...  
Czasem rozgniewa, czasem zabawi,  
A zawsze rubli się dopomina.  
Że ruble lubi, mojąż w tém wina?

Mam piękny bal! krawiec przychodzi,  
Witam go tedy — a pan dobrodziej  
Jakże się miéwa, niechże mi siada,  
A ten Harpagon o długu gada...  
Że dzieci chore, smutnie zaczyna...  
Że dzieci chore — mojąż w tém wina?

Mam piękny bal! praczka się zjawia  
Ogromny czepiec z wdziękiem poprawia  
Prawi że węgiel, że drzewo drogie,  
Że chyba krzywdzić myślę niebogę,  
I tu języczna walka się wszeczyna...  
Że drzewo drogie — mojąż w tém wina?

Mam piękny bal! gospodarz skromnie  
Odzian w szlafroczek zawitał do mnie.  
Chce mi zaległe darować raty  
Byłem już w inne wędrował światy.  
Coś o honorze jawnie wspomina...  
Że muszę mieszkać — mojąż w tém wina?

---

## Gdyby nie... gdyby.

Można by... ciągnąc życiową taczkę,  
Miłych banknotów uzbierać paczkę,  
Później spokojnie spocząć po trudzie,  
Gdyby nie ludzie!

<http://rcin.org.pl>

Można by... z kobiet prześlicznych koła  
Słodkiego sercu wybrać anioła,  
Stworzyć ogniska żar niezgaszony,  
Gdyby nie żony!

Można by... pracę zdeptawszy nogą,  
U Stępkowskiego czas spędzić błogo,  
Życiowych uciech zaznać potrosze,  
Gdyby nie... grosze!

Możnaby... siedząc na ojców glebie,  
Za króla stworzeń uważać siebie,  
Czerpać miód z ula, z jeziora ryby,  
Gdyby nie... gdyby.

---

## M a r z y c i e l.

Marzycielem go zwano — on też lubił marzyć!  
Lubił w samotnej ciszy słodki śpiew słowika;  
Lubił z skromnym fijołkiem, z różyczką pogwarzyć,  
Lubił ucho popieścić szemraniem strumyka,  
I lubił poświst burzy gdy w przestworzu wrzała;  
I... fama go też za to... głupcem okrzyczała.

Cierpiał... gdy w kole ludzi wykwintnego świata,  
Napotykał czcze serca, fryzowane głowy;  
Cierpiał, kiedy podstępnie brat oszukał brata,  
Cierpiał, kiedy kłamano podstępniemi słowy.  
Wówczas, twarz jego blada zda się ogniem wrzała,  
I... fama go też za to głupcem okrzyczała.

Lubił niepostrzeżony i niespodziewany,  
Po zaułkach, komórkach, wyszukiwać nędzy,  
Wiedział, komu ma częśćkę oddać swych pieniędzy;  
Wiedział, który wyrobnik chorobą złamany.  
Wówczas to, twarz mu szczęściem dziwnie jako drgała,  
I... fama go też za to głupcem okrzyczała.

## Z moich bajek.

„Śmiałaś się,“ kiedy „kocham“ szeptałem płomiennie,  
„Śmiałaś się,“ kiedy łzami perliło się oko;  
„Śmiałaś się“ gdy nadzieje niosły mię wysoko!  
Kiedym wierzył i kochał, oh! śmiałaś się ze mnie.  
Dziś, kiedym już boleścią opłacił te szaty,  
Kiedy zawód potargał urocze nadzieje,  
Dziś, usta twoje tkliwie, „kocham“ wyszeptaly.  
Oh! przebacz pani moja, że ja się rozśmieje.

---

## Mama Lola i Lolo.

Lolo był jedynakiem, był wabny, wesoły,  
Umiał się kłaniać zręcznie, nawet tańczyć umiał,  
Ba! nawet w mądrej głowie i to już zrozumiał,  
Że kto umie tak wiele — na licha mu szkoły!  
Zbijał więc sobie bąki najspokojniej w świecie,  
A wszyscy go kochali, jako pańskie dziecko.  
Lolo miał lat trzynaście — mama Lola miała  
Trzydzieści trzy, jak o tém powiadała skromnie,  
Fama jój tam złośliwie grubo dokładała,  
Ale to znów co prawda nie należy do mnie.  
Wię bo wreszcie najlepší okolica cała,  
Która od lat dziesięciu to samo słyszała.  
Mama była przystojną i zalotną wdówką;  
Stargani więc panicze starali się o nią;  
A ona i z wdziękami i nawet z gotówką,  
Odpychała natrętów zimną, pańską dłonią,  
Zatopiona w synalku i w poezyi była,  
Tak, była literatką i wiersze tworzyła.  
Nareszcie, kiedy Lolo w czternastej coś wiośnie,  
Umiał czytać niezgorzėj — ucieszona mama,  
Widząc, że na pociechę jedynak jój rośnie,  
Zdolnego guwenera wyszukała sama.

A guwerner był młody, przystojny i jeszcze  
Przeznaczenie mu w piersi wlało czucia wieszczę.  
Odtąd Lolo i mama poczęli już chwile,  
Chwile pracy, nauki — bo guwerner młody,  
Tak w śliczne oczy mamy umiał patrzeć mile,  
Tak umiał jedynaka uczyć, że bez szkody  
Dla zdrowia, apetytu, coś... jakoś... w trzy lata,  
Poznał już namiętności i uciechy świata.  
W lat dziesięć — tu zamilezę, co się z mamą stało...  
Co z Lolem? ha! ten poszedł wielu, wielu torem;  
Rozpuście oddał wkrótce fortunę nie małą,  
I dziś, został zaszczytnie... w hotelu faktorem.

## OSTATNIA SKARGA.

(Z moich bajek).

Zdała od miasta,  
Wązką drożyną  
Młoda niewiasta  
Z małą dzieciną  
Szła płacząc rzewnie.

A piękną była.  
Bo twarz jęj biała  
Ściągała a miła  
Cnotą jaśniała.  
I bolem pewnie.

Czarno odziana  
Acz w proste szaty,  
Szła zapłakana  
Gdzieś w miejskie światy  
Drżąca i łzawa.

A chłopię małe  
Na rękę matki  
Widno zgłodniałe  
Ciagnie ostatki  
Krwi, bo pierś krwawa.

I błysło wreszcie  
W dzielnicach miasta  
Światło — niewieście  
Widno sił wzrasta,  
Bo spieszy rażniej.

Aż u podwoi  
Bożych stanęła,  
Zda się wejść boi  
Z cicha jękuęła,  
Drżała wyraźnie.

Weszła. W kościele  
Świateł tysiące...  
I ludu wiele,  
Wszystko milczące.  
Ciche, jak w grobie.

A u ołtarza  
Słychać przemowę,  
Kapłan skojarza  
Z młodzieńcem wdowę,  
Wybranych sobie.



A dziwną była  
Ta ludzi para,  
Jak się złączyła,  
Gdy ona stara,  
Brzydka, garbata.

On, acz stargany,  
Młodo jaśniej,  
Oddał jej plany  
Życia... nadzieje...  
Ona bogata!!!

Ludzie z cichotą  
Szepczą do siebie,  
Że on za złoto  
Sprzedał jej siebie,  
Młodość i życie.

Szepczą a przecie...  
Widno cierpienie  
Strasznie go gniecie.  
Widno, wspomnienie  
Zadrgało skrycie.

A tam w ciemnicy,  
Tam u podwoi...  
Cień pokutnicy  
Jak posąg stoi  
Zimny, grobowy.

I ślub skończony.  
Szedł orszak cały  
Uanielony  
Strojny, wspaniały,  
Orszak godowy.

Nagle się zbliża...  
To pokutnica!  
„Stój! w imię krzyża,  
Krzyknie — żrenica  
Dziwnie pałała.

Pierś obnażona.  
Skrwawione dłonie,  
Warga spieniona,  
Nóż tkwi w jej łonie,  
Dziecię trzymała.

„Zabierz, krzyczała,  
Zabierz to dziecko,  
Jam cię kochała,  
To twoje przecie,  
To syn, sierota.“

Padła. — Dziad stary  
Zmówił pacierze  
Z bólu i z wiary  
Zapłakał szczerze  
I zauknał wrota.

---

## W OGRÓDKU.

Gwarnie, szumnie w ogródku, brzęk kufli, szczęk noży,  
Zewsząd krzyki, wołania, i szepty i śmiechy,  
Widno, że lubi szaleć warszawski lud boży,  
Widno, mało go gniotą niedostatków grzechy.

Orkiestra rąbie walca — tu, tam ładasznicie  
W kufelkach zatopiły nosy i źrenice...  
Kurtyna się podnosi — krzyk w szmer się zamienia  
Najprzód wartość aktorki z wnętrza się ocenia,  
Ładna — albo przeciwnie, stąpa potoczysto  
Mówi głośno lub cicho, czysto czy nieczysto;  
To mniejsza — idzie o to, jak tańczy — za chwilę,  
Zabrzmią skocznemi tony francuzkie kadryle;  
Tańczy — wnet wszystkie oczy, jak w obrazek święty,  
Zatonęły w tancerce od głowy do pięty.  
Entuzjazm owiał wszystkich, wyobraźnia pała...  
Vivat kankan! krzyknęła tłuszcza widzów cała,  
Vivat, salva oklasków z tysiąca rąk tryska  
A ona upojona, choć zemdenia bliska,  
Dobrywa sił ostatki, zapałem owiana,  
Tańczy, jak nawet w piekle nie tańczą kankana.  
Bis! bravo! krzyczą w okół i młodzi i starzy...  
Gdzieniedgdzie tylko karmin na niewieścięj twarzy  
W przykrym wyjrzał rumieńcu — gdzieniedgdzie dziewica,  
Przed wzrokiem ojca, brata, zakrywa swe lica,  
Albo niemą wymówką oczu wyrzec rada,  
Że na upadek siostrzyc patrzeć nie wypada.  
Gdzieniedgdzie znów brat łąta szarpie swój wąs siwy,  
W setce lat! po raz pierwszy patrzy na te dziwy.  
Więc splunął... kielich starki połknął na pociechę,  
I markotny powraca pod słomianą strzechę.  
Taniec ustał — oklaski wzmogły się a ona,  
Wyszła zbierać bukiety, dziwnie zapłoniona —  
I mówią że tancerka tak w harcach swych śmiała,  
Nad zachwytem gawiedzi gorzko zapłakała.

---

## ZE WSPOMNIENI.

Muzo! oh! muzo słodka bogów córo!  
Natchnij na chwilę wieszczę moje pióro,

Bo brak mi werwy, tak werwy, niestety,  
A skreślić muszę obrazek kobiety...  
Blondyną była, tak, była blondyną,  
Znałem ją jeszcze maleńką dzieciną,  
Kiedy majteczki na świat spozierały,  
A był to anioł, no... aniołek mały.  
Lubiła kwiaty, barwne jak motyle...  
A wszystkim kocham, szczebiotała mile.  
Często w błękitne jęj oczy wpatrzony,  
Mawiałem sobie, ot, tak, mimochodem,  
Gdybym się mógł téż doczekać z nięj żony.  
Myśl moja, jednak pokrywałem chłodem,  
I czasem tylko, kiedy lekka, pusta,  
Przybiegła do mnie, całowałem usta,  
Pieściłem główkę: śliczną główkę miała...  
Ta swywolnica, ta rozkoszna mała...  
Jasne kędziorki wily się w około,  
Powabnie zdobiąc wypukłe jęj czoło,  
Pod którem oczy jak gwiazdki świeciły,  
A nasek miała i składny i miły,  
Pod noskiem usta śliczne... pod ustami,  
Podbrodek, cacko... między podbródkami.  
Oh! śliczną była w dziewiątej coś wiośnie,  
Jam czekał tylko, śledził jęj wrażenia,  
A że kobieta prędko, prędko rośnie,  
I prędko serce obudza z uspienia,  
Więc téż zawczasu starałem się o to,  
By się polubić wzajemnie z pieszczotą,  
Znosiłem cukry, książki z obrazkami,  
I często, często, gdyśmy byli sami,  
Kształciłem główkę prawdy życiowemi,  
Jak to żyć trzeba wśród ludzi na ziemi,  
Co trzeba umieć — o czém wiedzieć trzeba,  
I byłbym może zaleciał do nieba  
W krainy duchów, gdyby moja mała,  
Nudném gderaczem mnie nie nazywała.

. . . . .

Przeszło lat siedm, pieszczotka ta miła,  
 Szesnasty roczek w trzeci maj skończyła,  
 A była cudną, jak wiosna, co w koło  
 Śpiewem słowików dźwięczała wesoło.  
 Byliśmy sami, sami i o zmroku,  
 Z lekka ścisnąłem dziewy rączkę białą,  
 I łzy ujrzałem w niebieskiem jój oku,  
 I wnet się dziewczę bardzo rozplakało.  
 Szukam przyczyny i szukam daremnie.  
 Żegnaj się z dziwu, niby do pacierzy,  
 Wreszcie mi szepcze, że ma ufność we mnie,  
 I że mi sekret, wielki sekret, zwierzy.  
 Słucham, ha, mówi . . . co ? . . jak ? . . piękne rzeczy,  
 Panna na pensyi jeszcze, pokochała,  
 Pięknie wyglądam, nikt mi nie zaprzeczy,  
 Pytam się kogo? Guciem go nazwała . . .  
 Ha! myślę tedy, trzeba radzić sobie,  
 Trzebaby rozwiąć to uczucie mgliste.  
 Więc téż rozsądne uwagi jój robię,  
 Stawiam przyczyny bardzo oczywiste,  
 Że ów pan Gustaw i ładny i miły...  
 Ale studentem jest tylko w tój dobie;  
 Że trzeba czekać aż własnymi siły,  
 Byt, stanowisko, wywalczy sam sobie.  
 I ot jak mogłem... rzecz persadowałem,  
 Że będzie czekać odrzekła z zapalem.  
 Kilka lat przeszło znowu od tój chwili,  
 Już po Gustawie inni różni byli.  
 Niby wybrani... cóż każdy miał ale...  
 Więc niewybrała — jam czekał wytrwale.  
 Aż raz pamiętam, w pieknój jednéj dobie,  
 Że się oświadczę, przyrzekłem sam sobie —  
 I wierny słowu, gdyśmy byli sami,  
 Odkryłem miłość drżącemi słowami.  
 Czekam wyroku kornie, pełen wiary,  
 Ha! cóż — odrzekła — że jestem stary.

Stało się — ja odszedłem z bolem i niewiarą,  
A ona... ha!... jest panną i do tego starą.

---

## KOBIETA.

Kaplica wrzała światłem, u Boga ołtarzy,  
Kapłan wiąże ich dwoje, dziwna sprzeczność była:  
On zgarbiony i siwy — a z jej ślicznej twarzy  
Czytałeś, że dwudziestu lat jeszcze nie żyła.  
On poważny, jak tego uroczystość chciała,  
Ona lekka widocznie, bo się uśmiechała,  
Śmiała się... jednak dziwna, ludzie coś szeptali,  
Że śmiech jej to udanie, że boleść ją gniecie,  
Że ma pierś pokrwawioną, a duszę ze stali,  
Że bolesne zawody przeżyła już w świecie;  
Że nawet gorączkowo twarz dziewicy drgała,  
Tak to ludzie szeptali — ona się śmiała.

---

## MOŻE TO BAJKA?

Zosia była prześliczna — prześlicznie bogata,  
Podobno sto tysięcy złożył dla niej tata.  
I miała jeszcze ciocię — a ciocia znów miała,  
Prześliczną kamienicę — i Zosię kochała.  
Tyle tedy piękności magicznie sprawiało,  
Że Zosię roje chłopców wiecznie otaczało.  
Ten i ów przybrał mglistą sukienkę miłości,  
Ten i ów dał się w beza ograć jegomości;  
Słowem każdy chciał względów — a Zosia spokojnie  
Śledziła ich manewra, w miłosnej tej wojnie.  
Na raz! stało się iście jak fama krzyknęła!  
Że Zosia liche względy rzuciwszy na stronę,  
Z wąsatym kirasyerem do Wiednia czmychnęła,  
Gdzie pilnie słucha kursów... na uczciwą żonę.

## MARZYCIELE.

— „Czemuś smutna aniele? jam przecie przy tobie,  
Otaczam cię miłością tak czystą, tak jasną,  
Że zda się, jakbym duszę oddał ci już własną,  
Lub jakbym twoją duszę przywłaszczyć chciał sobie,  
A tyś smutna, i łzawo świeci twe wejrzenie;  
Oh! luba, czy to dumka? powiedz! czy cierpienie?  
Powiedz! czy wyobraźnię twoją teraz pieści  
Przyszłość, co nam obojgu wdzięczy się tak mile,  
Czyś się wsłuchała w głos serca co wieści  
Słodkiego szczęścia niezmacone chwile;  
Czy może wiarą myśl twoja skrzydlata  
Wzbija się w niebo z łez i cierpień świata?  
Powiedz! bo widno, niebieskie twe oko  
Jaśniejemy myślą niezwyčajnej treści.  
Nie ma tam szczęścia i nie ma boleści  
A przecie w dali zwiśło tak wysoko...  
I taki urok lśni z łezki perłowej,  
Jak śmiech wesela i jak jęk grobowy.“

— „Drogi mój! cierpię i marzę boleśnie,  
Dusza ulata gdzieś w tęsknoty kraje;  
Wszystko co szczęściu memu dziś nie staje  
Jest ten aksamit com widziała we śnie;  
Jakież to cudny paltocik bym miała,  
Jakże bym silniej jeszcze cię kochała...  
Wyobraź sobie, jak ma dusza marzy:  
Najprzód, niebieska jedwabna sukienka;  
W takim kolorze jasnym jak jutrzeńka —  
Tak mi powabnie, tak mi to do twarzy...  
Do tej sukienki, kaftanik skromniutki,  
Ot jest i kostium — przyznaj że ładniutki.  
Kochanku luby! widno że cię boli,  
Żem marzeń moich wysnuła ci żądze,  
Lecz na to skromne wystarczą pieniądze,  
Potrzeba tylko twojej dobrej woli,

Ze dwieście rubli... ot koniec rachuby...  
To tak nie wiele — no i cóż mój luby?...”

### Tak na świecie.

Kochała go — tak ludzie szeptali — a przecie,  
On w ciągłym niepokoju przepędzał godziny;  
Czy nie ufał powabnym przysięgom dziewczyny?  
Oh! on ufał przysięgom... nie wierzył kobięcie.  
W rok później znowu ludzie szeptali, że ona  
Pokochała bankiera, że bryluje w świecie,  
Że opływa w to wszystko, co wy szczęściem zwiecie,  
Że w śmietniku społecznym gnije... ozłocona.

### PIESZCZOTKA.

Było nas dwoje,	Że niby dziecię
Ona, och! ona	Szalałem przecie.
Oczęta swoje	I tak nam było
Drżąca, spłoniona	W samotni owęj
Zwróciła do mnie	Słodko i miło,
Słodko i skromnie.	Żem na godowy
I rączkę białą	Dzień oznaczony,
Uczułem w dłoni... .	Czekał stęskniony.
I główkę małą,	W rok moja mała,
U moich skroni.	Jak to kobiety!
Oh! cudnaż była	Stroić się chciała,
Moja dziewczica,	Stroić niestety.
Niebem świeciła	Brylantów, złota,
Modra źrenica,	Chciała pieszczota;
Aż serce drgało	I wnet się zjawia
Miłością całą.	Starzec bogaty.
A kiedy słodka	Brylanty sprawia,
Kocham szeptała,	Jedwabie, kwiaty... .
Tak mię pieszczotka	Za dźwiękiem złotka,
Oczarowała,	Poszła pieszczotka.

## NIESPODZIANKA.

Państwo X., żyli z sobą jak najzgodniej w świecie,  
Owocem tego stała było śliczne dziecię.  
Dziewczynka lat coś sześciu i jak mówi mama,  
Do książek, do nauki garnęła się sama.  
Zdarzyło się, że papa na tygodni kilka,  
Wyjechał gdzieś za miasto a pani Emilka,  
Zatęskniona po mężu, przyjmowała sobie,  
Jak to zwyczajnie gości, w każdej pięknej dobie.  
Papa powrócił wreszcie — a córa psotnica,  
Targając jego wąsy całowała lica.  
I ciągnąc go do kuchni, szepnęła dziecina,  
Pójdź tatko, tam ci mama schowała kuzyna.

---

## Z farsy życiowej.

Kochankiem muz go zwano — był człowiekiem pieśni,  
Wytwarzał cudne tony z ludzkiej nędzy... pleśni,  
Z łez... cierpień... i rozkoszy, bo i rozkosz przecie,  
Każdemu się w udziale dostaje na świecie.  
Świat składał cześć poecie... on też poematy...  
Fragmenty i sonety — ba! i fantazmaty  
Sypał niby z rękawa — aż wreszcie, aż wreszcie,  
Że wieszcz poślubia wdowę gruchnęło po mieście!  
A wdowa miała grosze, ale jakie grosze,  
Miała cuigi przepyszne, że to siadać prosię.  
I Bóg wie czego wdowa nie miała bogata?  
I rozum... doświadczenie i znajomość świata.  
I czterdziestkę jak obszył. W lat kilka wieszcz słodki,  
Dźwigał już guzy... sińce... od lubej pieśzcotki,  
I często błądził smutny z sercem pokrwawioném.  
Świat nazwał go mazgajem — a ona... gamoniem.  
I znowu tak w lat kilka w smutnej jednej dobie,  
Otwarcie wspólne żale wyśpiewali sobie.



Rozeszli się — dziwaczy czasem przeznaczenie,  
Ona straciła grosze — on wieszczce natchnienie.

---

## Z moich bajek.

W oddali, kędy ciszy nie miesza już wrzawa,  
Na urwisku zielonym siedziało ich dwoje;  
On milczący, zdało się, że targał pierś swoją...  
A z twarzy biła łuna, dzika jakaś... krwawa.  
Na pomarszczoném czole, widno burza wrzała,  
Dusza, znać że zwalczała te boleści kaźnie,  
Co w rozpalonėj twarzy każdym nerwem drgała  
Tak dziko, tak okropnie, razem, tak wyraźnie,  
Że aż młoda kobiéta, wybladłe swe skronie,  
W pół z bojaźnią, w pół z bolem ukryła pod dłonie.  
A piękną była ona — i biała i blada,  
Smagła, czarnemi oczy paliła w wejrzeniu:  
Z tą twarzą, gdzie rumieniec nie często się wkrada,  
Bo chyba w zbytniém szczęściu, lub w zbytniém cierpieniu,  
Wabna, owita gazem, niby w mgłę ubrana,  
W zieleni drzew szumiących pod niebios błękitem;  
Zda się, że ta marząca i że ta świetlana,  
Jest piękności obrazem i piękności szczytem.  
. . . . . a przecie  
Bóg w piękności odmówił ciepła tej kobiecie.  
Po długiej smutnej chwili milczenie przerwała:  
„Pozwól mi — rzekła z cicha — że choć umrzeć muszę  
W zamian ci za te wszystkie okropne katusze,  
Powiem, żem cię jedynie, jednego kochała.  
Powiem, że mimo potwarz, że mimo pozory,  
Jam bez ciebie samotna spędzała wieczory!  
Żem niewinna jak dziecię, i czysta jak dziecię,  
Że kochałam cię więcej, niż wolno kobiecie.  
Dzisiaj, dzisiaj... ha dobrze — idźmy w różne strony,  
Ja, w szacie oskarżonej ciśniona boleśnie,  
Ty wyrzutem sumienia targany, dręczony,  
Żeś zdeptał moje szczęście, zabił mię tak wcześniej.“

I łzy już dokończyły bolesną jej mowę...  
I znowu nastąpiło milczenie grobowe.  
„Żegnam cię, rzekła znowu, żegnam w imię Boga,  
Idź po kwiecistej drodze szczęścia lub złudzenia;  
Mnie czeka smutna, krwawa, bo ciernista droga;  
Więc idę, w imię wielkiej woli przeznaczenia!...  
Żegnaj mi, miasto kłątwy, daję łzy w pokorze,  
Żegnaj mi... Oh! Bóg dobry nawróci cię może,  
Odkryje fałszu maskę, rozjaśni tę ciemnie,  
Oh! występki nie wyjdzie nigdy, nigdy ze mnie.  
A ty... ale mi żegnaj! nie usłyszysz o mnie“...  
I odeszła; on milczał... on milczał niezłomnie.  
Nazajutrz, ludzie z cicha szeptali coś sobie,  
Że ta małżonków para dziwnie się rozstała:  
Ona z bogatym skąpcem... do wód wyjechała,  
A on... wynalazł pokój — w modrym Wisły grobie.

### Z pieśni panicza.

Jak honor kocham, ona szaleje:  
Ledwie mnie ujrzy zaraz kraśniej,  
Ni to ni owo szepcze zmieszana,  
Prawie chce wyrzec: ja kocham pana.  
A gdy mnie nie ma, ba to aż szlocha,  
Jak honor kocham, ona mnie kocha.  
Jestem przystojny, widoczne rzeczy,  
Sam nieprzyjacieli mi niezaprzeczy,  
Mam gust, szyk w sobie, niema co gadać,  
A tańczę... tańczę że proszę siadać.  
Same kobiety proszą mnie w tany,  
Jak honor kocham jestem kochany.  
Mam wykształcenie, tak! wykształcenie.  
Byłem w Paryżu, byłem rok cały;  
Gdzie tylko wejść... psyt... zachwycenie,  
Jaki on piękny, jaki wspaniały,

Natychmiast szepcze . . . poważna . . . płocha,  
Jak honor Kocham, ona mnie kocha.  
Jestem dowcipny, ha! znam dokładnie,  
Kuryera, Kolców i Muchy szpalty;  
Umiem dowcipy palić jak z karty,  
Wszystko mi idzie mile i snadnie.  
Wiem kto był Długosz, a kto Szajnocha,  
Jak honor Kocham, ona mnie kocha.  
Mam piękną schedę w krótkiej przyszłości,  
Umiem zaciągać długi na setki,  
Nie dziw że giną za mną kobiety,  
Bo godzin jestem . . . godzin miłości,  
W każdej obudzam zachwyt . . . nadzieje,  
Jak honor Kocham, ona szaleje.

---

## POD STRYCHEM.

(Z moich bajek).

Widziałem scenę z życia — matka pochylona  
Ku dziecinie wychudłe wyciąga ramiona,  
Snać chora, bo dreszcz zimny przebiega jej ciało,  
A dziecinie wybladłej widno się ssać chciało,  
Bo chwyciła w usteczka pierś swój rodzicielki,  
I ssąc, nie wysssała, ni jednej kropelki.  
Mróz owiał moją duszę, nic już niewidziałem,  
Bo uczułem ból w piersiach, bo lzy w oczach miałem.

---

## Niewesołe bajki.

Są ludzie co jedynie w złoto tylko wierzą,

Są ludzie, co postęпки zbrudzeni własnymi,  
Nic czystego nie widzą pod słońcem na ziemi.

Są tacy, są i inni, różnie jak na świecie,  
Są i kobiety takie. Oh! wstyd tój kobiecie  
Co w swém łonie niewieściem *febris* złota mieści,  
Dla której honor, cnota, skromność, wstyd niewieści,  
Wszystko niknie przed rublem, a przecie, a przecie,  
Są takie smutne twory, na smutnym tym świecie.  
Klara była dziewicą i czystą i wabną,  
Twarzyczkę miała śliczną — postać zręczną, zgrabną,  
W główce trochę nauki — ot na pozór była,  
I ładna, i w obejściu uprzejma i miła.  
Klara, było to dziecko dziwacznej natury,  
Na ubogich poczciwców spoglądała z góry,  
Ceniła młodość wprawdzie, ale mniej niż złoto  
I za starego skąpca poszłaby z ochotą.  
Tak przynajmniej mówiła — i stało się wreszcie  
Że starzec znany z bogactw w całym naszym mieście.  
Oświadczył się Klarusi... a że miał miliony,  
Więc rękę mu podała — interes skończony.  
W lat kilka gra *gieldowa* majątek im zjadła —  
I Klara naturalnie z tą chwilą przepadła,  
Gdzie, po co? nikt nie wiedział — lecz dziś mówią o niej,  
Że w kawiarni *nie czystej* za rublami goni.

---

## Z BRUKU.

Na ulicy, oparty o gościnną ścianę,  
Grał starzec niewidomy pieśni cudnej treści;  
Zdało się że torami dawną młodość pieści,  
Zdało się, że te tony drżące, przerywane,  
Kreśliły dzieje duszy, walki i cierpienia.  
Grał starzec, grał i płakał — miał chwilę natchnienia.  
Przykry przedstawiał widok — wiatr mroźny w około,  
Rozwiewał siwe włosy na szyję i czoło.  
Na ustach igrał uśmiech, łzawo jakoś błogi,  
A pies — przyjaciel starca całował mu nogi.

Ludzie, zwyczajnie ludzie, każdy ma kłopoty;  
Ulicznemu grajkowi podać jaki złoty,  
To śmieszne — wszak za złoty — wiadome to wieści,  
Wirtuoz koncertowy ucho nam popieści,  
Mijały go więc damy, pany i panosze,  
Aż zebrał przechodzący podał mu dwa grosze.

W kilka dni, znów ujrzałem starca, jak zgarbiony  
Wytwarzał jakieś smutne niezbyt czyste tony.  
I dziwna! — z przechodzących — na ofiarę nędzy  
Każdy niemal oddawał cząstkę swych pieniędzy.  
Ciekawość bywa cnotą, tak, jak bywa grzechem,  
Zapytałem staruszką, z kąd zmiana szczęśliwa,  
Że do biednej torebki groszy tyle wpływa?  
„Ciągnięcie piątej klasy,“ odrzekł mi z uśmiechem.

## DO NIĘJ.

Pytasz mię pani, czemu w owej chwili,  
Gdyśmy we dwoje tylko gawędzili,  
Choć uścisnąłem rączkę kilka razy,  
Uścisk był zimny, jak zimne wyrazy?  
Mówisz mi pani że kochać cię muszę,  
Że z moich oczu czytasz moją duszę;  
Widzisz w niej uczuć dla siebie bez miary...  
Ostrożnie pani... szkoda dobrej wiary.  
Ja cię nie kocham, jakkolwiek przyznaję,  
Że gdy cię widzę, siedzę przy twém boku,  
Wtedy coś marzę... wtedy mi się zdaje...  
Że dużo serca, czytam w twojém oku.  
Lecz kiedy w innéj chwili na cię patrzę,  
W chwili spaceru albo na teatrze;  
Widzę jak strasznie ujarzmia cię moda,  
Żądza tryumfów, wtedy mówię: szkoda  
Że tyle wdzięków, słodczy, niestety!  
Przystraja ciało najlżejszój kobiety.



## NAJNOWSZE BAJKI.

---

### I.

Ciocia i siostrzenica w harmonijnej zgodzie,  
Przyjmowały kuzynka jak to dzisiaj w modzie.  
Kuzynek tak je kochał, tak... aż przeniewierca,  
Cicię odarł z banknotów — siostrzenicę z serca.

### II.

Ona była prześliczną — on stary, zgarbiony,  
Ujrzał ją i zapragnął kochanki lub żony,  
Ona, bo i dla kogoż — niema wdzięku złoto?  
Oddała mu swą rękę z uśmiechem, z ochotą.  
Po chwili zaszła zmiana, — on smutny i ona,  
Dziwnie strapiona... blada... dziwnie zamyślona,  
Dla obojga czar złudzeń rozwiął się już błogi,  
Ona czuje cześć w sercu — on jelenie rogi.

### III.

Cnota, której już rubel dokuczył za wiele,  
Wyrzekła: że na zawsze gardzi jego dźwiękiem.  
A rubel: że wzgardzono nim dorywczo, śmieie,  
Rozplakał się nieborak — ha! i odszedł z jękiem.  
W kilka dni cnota kornie pochyliła skronie  
I po srebrnego rubla wyciągnęła dłońie.

### IV.

Wyzwał raz kok perukę — ta odpowiedziała:  
I na cóż by się walka nam dwojgu przydała?  
Oboje zastępujem brak włosów niestety!  
Ja próżnych mężczyzn zdobię — ty! próżne kobiety!

V.

On był artystą — tak, człowiekiem ducha!  
Ona gdzieś w kramie mydło sprzedawała;  
W jego kieszeni chroniczna posucha,  
Ona talarki w pończoszkę składała.  
Poznali się — on utył — tak utył po chwili,  
Miłość to, miłość karmiła go właśnie;  
A ludzie zaraz z cicha coś mówili,  
Że jój pończoszka schudła, schudła strasznie.

VI.

Pytało cielę osła — powiedz mi mój bracie,  
Dla czegoś ty tak głupi? i czemu nie macie  
Wy osły tego sprytu i wyrozumienia,  
Co ja cielę posiadam już od urodzenia!  
Na to osieł ryknąwszy — strasznie obrażony,  
Cielaku! rzecze dumnie z głupstw niepoprawiony,  
Spójrzysz na moje uszy a poznasz jak wiele,  
Słyszę więcej od ciebie nierozumne cielę.  
Spójrzysz na moją postać, na znaczenie w świecie,  
Jam osieł i prócz tego nic więcej nie wiecie,  
Ale osłem zrodzony, gdy wy niebożęta,  
Zanim bydłem będziecie, jesteście cielęta.

## PRAWDZIWA POWIEŚĆ.

---

Panna Scholastyka Kociarska, należała do znacznej niegdyś rodziny Kociarów, której protoplasta przybył podobno z księżycą dla zapoznania nas z lichwą. Jemu to właściwie zawdzięczamy przeflancowanie słodkiego owocu, owocem którego znowu: subhastaty, tradowania i wszystkie rzeczy, jakie ich są...

W dzieciństwie jeszcze to jest w epoce, w której z pod rąbka spodniczki, białe w świat Boży patrzyły majteczki, bohaterka nasza okazywała już serdeczną miłość... ku groszom. Grosze te w jedną składała puszkę, w czym znowu, zacni rodzice dopomagali jej bardzo.

Książek i strojów nie lubiła dziewczynka!!—lubiła za to przeliczać drobne swoje zbiory; dyski zamieniać na złotówki, złotówki na talary i t. d.

Wśród jakich okoliczności przebyła dziewiczych lat trzydzieści? to już w tajnikach przeszłości zostało; dość na tém, że w chwili naszego opowiadania liczyła lat tyle, i była panną — do czego przyznawała się sama — naturalnie zaprzeczać nie śmiemy.

Prócz wybitnej cechy oszczędności, panna Scholastyka miała jedną wadę. Lubiła teatr. Teatr to jedyny magiczny wyraz, na dźwięk którego, szczerze westchnąwszy, sięgała po złotówkę; ażeby paradyz zaszczyścić swoją obecnością.

Panna Scholastyka była samą, samą na tym padole; rodzice jej bowiem po dłuższej czynnej pielgrzymce, zosta-



wiając pełnoletniej jedynaczce grubą fortunę — przemieśli się „ad patres.“

Dla czego jednak dotąd była panną? to rzecz pozytywizmu wyraźnie. Małżeństwo pojmowała ona, jako handlową moralną spółkę, do której wkłady winny być równe, polowania więc krokodylów, hippopotamów i lisów, spełzały na niczym.

Trafiło się, że czynna reżyserya nasza, po kilkomiiesięcznych obietnicach, wznowiła starą sztukę. Nowa złotówka padła na ofiarę nowości — panna Scholastyka była w teatrze.

Grano *Skapca*. Z otwartemi usty, z podziwem i z zachwytem, bohaterka nasza śledziła każdy krok, każdy ruch Harpagona. Była szczęśliwa. Nagle! — a było to w scenie wykradania skarbów — śmiertelna bladeść okryła jej policzki... myśl o pieniądzach leżących w domu zarwała smutnym przecuciem — wybiegła.

Fatalność! Deszcz lał jak z cebra, bez parasola przebiez niepodobna; a dorożka? dorożka tak drogo kosztuje. Rozpacz ogarnęła niebogę. Już... już, zdecydowała się, na ten okropny wydatek — ale cóż? i tu zawiodła się niestety! Wynaleźć dorożkę — było to odkryć nową Amerykę — jęknęła.

W tej chwili właśnie przechodził otulony jegomości z parasolem. Nadzieja przemówiła do niej i nie zawiodła tym razem.

Otulony jegomości ujrzawszy nieszpętną jeszcze kobietę; uznał za stosowne pospieszyć z usługą. Bąknął coś o grzeczności... coś o obowiązkach — i wzięwszy pod pachę prowadził do domu.

Fatalność bywa fatalną. Na skrawie ulicy Bielańskiej,

kiedy już kilka tylko domów oddzielało ich od mieszkania nieznajomój, silny wiatr jednym podmuchem wykręcił cztery fiszbiny. Parasol nieznajomego uległ katastrofie. Na szczęście stanęli przed domem.

Położenie naszej bohaterki było niemiłym. Parasol miała u siebie, wypadało więc, przysługę nieznajomego, oddać podobną przysługą; obawa jednak że nie wróci z parasolem, krępowała ją tylko.

Z dwojga złego, panna Scholastyka wybrała lepsze. Poproszę go, pomyślała sobie, a może i deszcz ustanie.

Za chwilę, znajomy nieznajomy, przekroczył progi dziewiczego mieszkania.

Na wstępie, uwagę nieznajomego zwróciło to, że prócz zwyczajnego zamku, było jeszcze we drzwiach trzy czy cztery kłódki. Następnie różne rzeczy i sprzęty i cały szereg garderoby męskiej.

Panna Scholastyka dawała na fanty. Nieznajomy zrozumiał wszystko. A był to młody dziwnie przystojny człowiek, którego twarz śniadą przystrajały duże niebieskie oczy i ciemny sumiasty wąs.

Gospodyni domu znalazłszy wszystko w porządku, uznała stosowném ślicznego gościa przyjąć herbatą; herbatą, którą nieznajomy wypijał bez cukru.

Ujmująca powierzchowność nieznajomego, ujęła także i pannę Scholastykę; herbata bez cukru zrobiła resztę—pokochała.

Nagle to uczucie, sprawiło najprzód długą i miłą gawędę; następnie, pożyczenie parasola — a nakoniec rozkoszny sen.

Romans téj pary trwał krótko. Po upływie miesiąca,  
<http://rcin.org.pl>

panna Scholastyka wyznała Guciovi (było mu więc Gucio), że mimo ubóstwa (był więc ubogi), zaślubi go chętnie. Pieniądzy jednak nie da aż po ślubie (widocznie domagał się mamony); — i w miesiąc jeszcze, panna Scholastyka Kociarska, została panią Frantowską.

W trzy miesiące później, młoda małżonka wyliczyła młodemu małżonkowi tysiąc nowiuteńkich rubli, które to ruble posłużyć miały do  *pewnych*  interesów.

Jak to tam Gucio poprowadził owe interesa niewiemy — to pewna tylko, że spekulacye zagnały go daleko... bo... do Ameryki — gdzie i pani Scholastyka udać by się rada, gdyby... gdyby nie ogromne koszta podróży.

---

## KONKURS.

---

Panna Florentyna miała to niewytłómaczone szczęście, że urodziła się córką Euzebii... Euzebii. Mama jej bowiem była Euzebią, bez określonego nazwiska.

Rodzinne jej nazwisko Powąła — nie odpowiadało estetycznym względom; a że prócz rodzinnego, nie ustroiła się w inne, była więc Euzebią i kwita.

Panna Florentyna była więc Floryną, i nic więcej — Floryną pani Euzebii.

W chwili naszego opowiadania pani Euzebia była babką, maleńkiej Euzebii, która na teraz była sobie Euzebią... Floryny.

Fuzebia Powąła, Floryna Powąła i Euzebcia Powąła; zwały się na kark wujaszka Powąły, który — sam tylko

nosząc to nazwisko, nie może pojąć, jakim sposobem rodzinna płeć niewieścia, rozrosła się tak strasznie. W tym celu ogłasza „Konkurs,“ a każdy, kto zdoła rozwiązać tę zagadkę—otrzyma w darze (stosownie do wyboru) którąkolwiek z panien Powalów.

---

## Z KOMEDYI ŻYCIA.

---

*Sunt lacrimae !*

Było to dnia 27 grudnia 1872 r. Po ciszy świątecznej miasto zawrzało życiem, zdwojonem jeszcze chwilowym zastojem. Zakłady gastronomiczno-piwnie i piwnokawiaryjne zapełniły tłumy spirytualistów. Była godzina szоста wieczorem. W jednej z bardziej uczęszczanych bawaryi, muzyka zawrzała skoczego mazura, a rozochoceni słuchacze, gradem napełnionych kufi podziękowali artystom?! Przy jednym z rozrzuconych stolików, siedział już nie młody człowiek, lat czterdziestu może, ubrany niedbale, z rodzajem jednak pretensjonalnej elegancyi. Czerwone jego policzki, strojne rzadkimi sterczącymi wąsy, zdradzały nie małą już liczbę wysuszonych kufi, a maleńkie siwe oczy, tonęły w czarnych prześlicznych oczach dziewczęcia siedzącego przy tymże stoliku. Twarz dziewczyny wyrażała niesmak i znużenie. Siedziała zimna i milcząca, niekiedy znowu, na dźwięki „piwa koteczko“ „daj aniele wódki“ gorzkim uśmiechem przystrajała usta i niezadowolona widocznie podnosiła się ocieźale. Była ona bowiem panną do usług. Chwila wrzawy uci-

chła. Dziewczyna wróciła na zajmowane przedtem miejsce, — a podtusiały jegomość ściskając jęj rękę, szeptał coś długo, płomiennie.'

— Ja nie chcę — odrzekło dziewczę — ja nie przyjmę. Prezent to, dodała ciszej, bogaty i wabny. Kilkaset złotych wydanych przez pana, musiałabym nagrodzić stosownie — a ja, dodała poważnie, jestem matką; powtórzyła dobitnie, kocham moje dziecko i dla niego uczciwą być chcę.

Nowe żądania piwa odwołały ją na stronę. Nieznajomy syknął z wściekłości.

— Dziecko, szepnął siwy jakiś jegomość odbierając podany kufel. Widziałem i słyszałem wszystko. Ten jegomość ofiarowuje ci złoty zegarek, to szczerze. Przyjmij go, przyjmij, a resztę powiem ci później.

Znana i ceniona osobistość starca sprawiła, że dalsze nakłaniania nieznajomego jegomości, pomyślniejszy przybrały skutek. Złoty zegarek z łańcuszkiem, leżał już w szufladzie dziewczyny.

W jednym z domów Starego-Miasta, w stancyjce ciemnej, wilgotnej, na łóżku zasłanym czysto acz ubogo, leżała młoda jeszcze kobieta z kilkoletnią dzieciną na piersiach. W twarzy tej kobiety przebijały walki i cierpienia, a łzy perliste spływały na główkę dzieciny. Stancyjka malowała straszną niedolę i ubóstwo. W tej chwili drzwi otworzyły się z lekka, i w progu mieszkania, ukazała się młoda, starannie ubrana kobieta z wyrazami „pochwalonego.“

— Co to? zapytała kobieta podnosząc się z łóżka.

— Nic, nic, zmięszała się przybyła — i widok ubóstwa załzawił czarne jęj oczy.

— Czy pani ma interes do mnie? zapytała ponownie.

— Tak — odpowiedziała nieznajoma. Nieszczęście pani, a raczej postępowanie jej męża przywiodło mnie tutaj.

— Męża... jęknęła głucho kobieta. I cóż pani chcesz powiedzieć o nim?

— Ja... chcę oto zwrócić pani to, co mąż jej w charakterze kawalera ofiarował pewnej pannie. To mówiąc, złożyła na stole złoty zegarek, dołączając kilka rubli własnych zaoszczędzonych tak ciężko.

Obie kobiety załazy się łzami. Dziecina zawtórzyła im jeszcze i... niech wyobraźnia czytelnika dopełni reszty obrazu.

---

**Jakim sposobem, pan Jacek zołzowate szkapy zamienił na wcale nieszepne cuganty.**

---

Pan Jacek miał żonę; rosłą, barczystą niewiastę, którą kochał jak umiał a kochał w połowie. Dla czego znowu tylko w połowie? to wytłómaczyć da się tém jedynie, że ona znowu jedném na niego spoglądała okiem, wyraźnie jedném, gdyż drugiego nie miała niestety! Pan Jacek miał i nie miał dzieci; miał i nie miał, przyczyna czego wyradza pewną loiczną nie loiczną konsekwencyę, której rozpoznać nie trudził się jakoś.

Pan Jacek był bogaty, właściwie, bogatą była pani Jackowa; ona mu bowiem wniosła kamienicę, która to kamienica, równoważyła jakoś dziewiczą jej wartość. Kto ma kamienicę, ma naturalnie wyższe wymagania, — pani Jackowa lubiła jeździć. Kto lubi jeździć, zwykle trzyma konie, ztąd pan Jacek trzymał parę koni. A że szkapi-

ny zołzowały okrutnie, co naturalnie rumieniło wstydem pulchne policzki magnifiki, więc też troskliwy małżonek postanowił zamienić je na inne.

Polem téj faciendy został targ na Pradze.

— Mošku, mówił pan Jacek do pejsatego syna Izraela. Szkapę twoję podobają mi się jakoś, gotów jestem dołożyć ci tysiąc złotych do moich, ale... ale widzisz, mówił znacząco, żona moja jest skąpa, brzydko skąpa — i ciężkie westchnienie dało poznać żydkowi, kłopotliwe położenie obywatela.

— No! co zrobić? zapytał żydek?

— Trzeba, dodał pan Jacek, skłamać pozornie. Oto powiemy przed nią, naturalnie tak tylko, że niedopłacił ci nic, że robimy zamianę łeb na łeb i basta!

— No... mnie to wszystko jedno, abym swoje dostał, to dobrze.

Na dziedzińcu państwa Grzymałów, wrzał rwetes nie mały. Mieszkańcy, służba i pani Jackowa z kolei oglądali sprowadzone konie; i ta ostatnia, niezadowolona widocznie, już chciała uszu natrzeć małżonkowi za niefortunne kupno — lecz zapewnienie, że to bez dopłaty, że łeb za łeb tylko, co na mrugnięcie pana Jacka powtórzył i żydek, uspokoiło ją zupełnie.

W kilka dni, do pokoju pana Jacka wsunął się znajomy nam żydek.

— A to ty! co mi powiesz — zapytał pan Jacek.

— Co ja powiem, ja nic nie powiem, przyszedłem po moje tysiąc złotych.

— Tysiąc złotych? Mošku, czyś ty zwaryował przypadkiem? Jakie tysiąc złotych.

Toć przecie łąb na łąb poszło, — słyssał to dom cały.

— A wa! zawołał żydek.—Co pan dobrodziej żartuje, mnie się aż zimno zrobiło — i biédak drżał jak listek.

— To napij się wódki, odrzekł pan Jacek podając mu sześć groszy; i wynoś się kotku bo wypchnąć cię każe.

Jak się tam stało późnij niewiemy, wiemy tylko że pani Jackowa przejeżdża się znanemi koźmi — a niefortunny żydek, nauczył się dmuchać na zimne.

---

## SZKIC DO POWIEŚCI.

---

Ciocia Agata była to sobie bardzo pospolita ciocia. Rumiane policzki z dobrze orlim noskiem, pod niskim pomarszczonem czołem, mówiły jakoś... o całej czterdziestce przebytej na tym padole płaczu.

Czy ciocię Agatę zdobyły jakie wewnętrzne przymioty, tego co prawda dociec nie mogliśmy. Była ciocią... samo to dowodzi, że miała siostrzeńca lub siostrzenicę... nasza więc ciocia miała siostrzeńca, którego pieszczotnie nazywała Dolciem. Dolciem tym, byt sobie rosły atletyczny pan Adolf, znany powszechnie bilardzista *con amore*. Jakie właściwie pan Adolf zajmował stanowisko, tego sam pewnie powiedzieć nie umiał; wiadomo jednak, że jadł wybornie, pił artystycznie i stroił się modnie. Raz, a było to w salonie cioci, (tu właśnie zaczyna się powieść) pan Adolf tonąc w miękkim fotelu, palił wonne dziesięciogroszowe cygare (jeżeli naturalnie, cygara nasze cieszą się wonią), gdy nagle, do saloniku wbiega ciocia dziwnie za-



pérzona, i pierwszym piorunującym wykrzyknikiem jój było... Łajdaku!

— Łajdaku! — powtórzyła jeszcze — widziałam was... wiem... w téj chwili rozszedłeś się z zalotnicą, aby odwiedzić szkatułę moję. — I silny policzek zadźwięczał na twarzy siostrzeńca.

Kłątwy, krzyki i policzkowe dźwięki, trwały jeszcze chwilę, aż wreszcie, zmasakrowany bohater wymknął się z salonu cioci.

#### EPILOG

Co było dalej, to przeszłość zakryła,  
I godném wzmianki to chyba jedynie,  
Że ciocia żyje, tak jak dawniej żyła,  
Tylko że w młodszym kocha się kuzynie.

---

## OBRAZKI Z PROWINCYI.

(Z N A T U R Y).

### DZIEWCZYNA.

W lecie to było,  
Tam przy strumieniu,  
Dziewczę w milczeniu  
Marzyło.

W oddali roje  
Ptasząt dźwięczało,  
Piosenkę swoją  
Wspaniała.

A słońce złote  
W chmurach się skryło,  
Dziewy tęsknotę  
Dzieliło.

A ona marzy...  
Złożyła dłonie.  
Na białej twarzy  
Myśl płonie.

Czasem się stoczy  
Łza na jej lica...  
Lub wznosi oczy  
Dziewica.

A w oczach płonie  
Boleść, tęsknota;

Podparła skronie  
Sierota.

W dali w zachwycie  
Pan tego siola,  
Wpatrzył się skrycie  
W anioła.

Zwolna się skrada,  
Chwyta w ramiona,  
Drży dziewa blada...  
Spłoniona!

Białe jej skronie  
Całuje... pieści...  
Wstyd zawrzał w łonie  
Niewieści.

Zręcznie i śmiało  
Policzek dała  
Aż zadźwięczało...  
I uleciała.

W rok później może,  
Ona, ach! ona...  
Pożał się Boże!...  
Zgubiona!...

## Dziwne dziwy.

Znasz-li ten kraj, ten cudny kraj,  
Gdzie wieczna zieleń, gdzie wieczny maj,  
Znasz-li ten kraj? . . . . .  
. . . . . Widno go znała  
Pani Laura, Jackowa żona,  
Bo o Italii wiecznie śpiewała,  
Podróżomanią oszłomiona.  
A była ona ot białogłowa,  
Co to z kaprysu, albo dla mody  
Wszystko ze siebie zrobić gotowa...  
Jacek małżonek człek już nie młody,  
Acz nie wynalazł prochu ni pary,  
Był dość rozumny — grube miał grosze,  
Bo na tysiące liczył talary,  
I jasnym panem zwał się potrosze.  
Ale co serce to złote iście  
Nosił w swych piersiach zacny Jacenty.  
Kiedy pił w gronie, to już ogniście,  
Kiedy się modlił, to już jak święty.  
A żonę kochał, oh! mocny Boże,  
Jak tylko człowiek pokochać może.  
Bo też to była... fu! nie do wiary,  
Cudna i rosła, barwna, jak róże,  
Że gdy ją ujrzał, młody czy stary,  
Spojrzał w te oczy niebieskie, duże,  
To go zachcenia owiały słodkie  
I chciał czy nie chciał — kochał pieśczołkę.  
Taką to była — gdy w pewnej dobie,  
Postanowiła wyjechać sobie,  
W krainę śpiewu, w krainę wiosny,  
Mąż tych projektów słuchał żałośny...  
Próbował prosić — w końcu pan Jacek,  
Do nóg się pani rzucił jak placek.  
Jął perswadować gorąco, rzewnie,  
Że choć tam pięknie, zielono, śpiewnie,

Lepiej zaniechać . . . że sam stęskniony  
Nie zniesie braku rozkosznej żony.  
Nic nie pomogło — kobieta chciała,  
Co chce kobieta, to chce... kobieta,  
Pani kieszonki grubo napchała  
I w świat pomknęła sobie i kwita.  
Jacek pozostał smutny i blady.  
W każdej tęsknoty czarnej godzinie,  
Szukał pociechy w kojącem winie;  
Już wesołości ponikły ślady.  
A miesiąc w miesiąc z tłustej szkatuły,  
Paczki bankowej cennej bibuły,  
Mknęły do pani — z czułem słowa,  
Że dom jest grobem bez białogłowy.  
Po roku pani wraca — fu! szczęśliwe dziwy,  
Z naszego Jacka szczęściasz prawdziwy,  
Gdyż za tęsknotę, pieniądze, troski,  
Pierwszego syna przywiał wiatr włoski.

### Z pieśni ludowych.

Płynie sobie rzeka,  
Oj! płynie od wieka,  
W téj rzeczce się utopiła  
Pani nasza miła.  
Pani nasza miła.

Męża ona miała  
Wielce go kochała,  
Był on hoży, składny,  
Jako panna ładny.  
Jako panna ładny.

A miał ci on pono  
Kochankę szaloną,

Któręj dawał złoto  
I zwał ją pieszczotą.  
I zwał ją pieszczotą.

A że ludzie wiedzą,  
Jak sąsiedzi siedzą,  
Więc coś pani rzekli,  
Niby czarci wściekli.  
Niby czarci wściekli.

Pani pana pyta,  
Co to za kobieta?  
Bajki! pan powiada,  
To kłamstwo i zdrada.  
To kłamstwo i zdrada.

Pani coś nie wierzy,  
Bo wciąż wśród pacierzy  
Modli się i szlocha,  
Oj! bo męża kocha.  
Oj! bo męża kocha.

Aż biędna niewiasta,  
Wyjeżdża do miasta,  
I spojrziała, Boże!  
W zalotnicy łoże.  
W zalotnicy łoże.

Gdy do dom wróciła,  
Wnet się utopiła.  
Wszak to widział stary  
Sługa, godzien wiary.  
Sługa, godzien wiary.

Płynie sobierzeka,  
Oj! płynie od wieka,  
W tej rzeczce się utopiła  
Pani nasza miła.  
Pani nasza miła.

---

### OBRAZEK PARAFIALNY.

---

A najprzód mości panie, dobrze o tém wiedzieć,  
Że jeśli dobrze jeździć, lepiej w domu siedzieć.

*Krasicki.*

Pani Klara, jak to Klara,  
Dobrze brzydka, dobrze stara,  
Miała jednak wdzięk nęcący...  
Bo gotówki huk brzęczącej.  
Miała jeszcze nie żartami,  
Kobylec z przyległościami.  
Na Kobylcu rządcą hoży,  
Dniem i nocą się uwija  
I dobytek rok w rok mnoży,  
W zamian, pani rządcy sprzyja.  
Stasiem zwała go z pieszczoty,  
A Staś młody ma przymioty;  
W każdy kącik zajrzy co dnia,  
Więc też świeci mu pochodnia  
Powodzenia... powodzenia...  
Tak! — jest blizkim... ożenienia.  
Licho chciało, w jakieś dobie,  
Uroiła jejmość sobie,

Odwiedzić Francję pobitą;  
A jejmość była kobietą!  
Myśl ta jęj się podobała:  
Jak się chciało, tak się stało,  
Za granicę wyjechała.  
Staś z początku rozżalony  
Nie opuszczał miłej strzechy,  
Wkrótce jednak dla pociechy  
Zaczął śpiewać w inne tony.  
Czmychnął sobie do Warszawy;  
A w Warszawie, jak w Warszawie,  
Wśród rozpusty i zabawy  
Dnie i noce spędzał prawie.  
Ludzie — mówię to nawiasem,  
Mają różne chęci, żądze...  
Staś do domu zajrzał czasem  
Ale tylko po pieniądze.  
W domu, jak to zwykle w domu,  
Gdy dopatrzeć nie ma komu,  
Służby zbiór nawet niewieści,  
Kradnie panie! co się zmieści.  
Tak się działo w dobrach Klary,  
Młody rządca w mieście siedzi,  
Na wsi znów ekonom stary,  
Już o przyszłość się nie biedzi.  
Gdzie... co może... śle, sprzedaje,  
Bierze mądry co czas daje.  
Tak w lat parę, rządca sobie  
Pozaciągał grube długi;  
Pooddalał dawne sługi...  
Dziś na drugim mieszka globie.  
Pani Klara gdzieś tam z boku  
Usłyszawszy co się dzieje;  
Ocalenia ma nadzieje,  
Z bolem w sercu, ze łzą w oku  
Wyprzedaje swe manatki  
Porzuca strony bogate,

I wjeżdżając do swój klatki,  
Zastała już subhastatę.

---

### Wyrodna córka.

Gdzie, jak to było — zmilczę, acz pamięć,  
Żyło dziewczątko, jak róża w wiosnie;  
A dziewczę było miłe i skromne,  
W przyszłość patrzyło, słodko, radośnie.  
Była ozdobą pod niską strzechą,  
I ślepój matki całą pociechą.  
Młody pan zoczył dziewczątko hoże,  
Szeptem w miłosne zadzwieczał tony;  
I na jój lica wstąpiły róże,  
I szalem owiał duszy jój struny.  
W rok później jakoś, w ubogięj chatce,  
Cicho i głucho, jak w grobie;  
Pies tylko legnął przy ślepój matce,  
Która lzy gorzkie ociera sobie.  
I czasem tylko jęknie głęboko,  
Ciemne do nieba podnosząc oko.  
Albo skostniałą ręką wygraża,  
W stronę kościoła, w stronę cmentarza.  
A na cmentarzu — tam w grobów steku,  
Świeża się w dali wznosi mogiła,  
Co uwiedzioną w wiosnianym wieku,  
Biedną dziewczynę na wieki skryła.  
A ludzie, ludzie na dziewy grobie,  
Jeśli z rówiennic zapłacze która,  
Cichemi szeptu podają sobie:  
Tu ślepój matki wyrodna córka.

---

## Zemsta Gęsiaka.

Pan Barnaba, jak wypada  
Na szlachcica i sąsiada,  
Każde swoje imieniny,  
Dla przyjaciół, dla rodziny,  
Sprawiał sute co się zowie.  
Ile to tam było wrzawy,  
Przygotowań, co za krzyki,  
Co wyjazdów do Warszawy,  
Ile żądań magnifiki!  
Ile potrzeb pięknych córek,  
Ile fochów, burz, chmur, chmurek,  
Zjé ten licha kto wypowie!  
Bo téż najprzód wiedzieć trzeba.  
Że małżonkom w szczodrym darze,  
Rok w rok córki szły po parze.  
Aż ich tuzin dały nieba:  
Bibcia miała lat czterdzieści,  
Pierwsza z rodu,—czar niewieści  
Opromieniał tę istotę,  
Miała rozum, serce złote,  
I talenta, słowem miała  
Wszystko; ba! nawet śpiewała.  
Druga z rzędu, panna Klara,  
To marzące niebios dziecię,  
Choć o męża się nie stara,  
Za mąż jednak pójdzie przecie.  
Lubi spokój, nocną ciszę,  
I co prawda wiersze pisze! . . .  
Zosia z Manią, przyszły w parze,  
Po trzydziestce są w téj dobie,  
Mama stroić się nie każe,  
Smarkaczami zwie je sobie.  
I tak młode idą córy,  
Te *faflami* się już zowią,



Jednakże noszą tiurniury,  
I jak mogą chłopców łowią;  
No! . . . że łowią, mniejsza o to!  
Dość ów wieczór nadszedł przecie,  
Panny strojne, w kwiaty, w złoto,  
W sali siedzą już w komplecie.  
Już nawet stary papeczka,  
Strojny frakiem jak laleczka.  
Nawet Gęsiak — (tak był zwany  
Czyści bucik — co z pasterzy  
Na lokaja kreowany)  
Miał im służyć do wieczery.  
Był w liberyi, z złotym szychem,  
W lakierosach, tak! z przepychem!..  
Ale w ciągłym kramie, w wrzawie,  
Na ów wieczór, arcy wielki,  
Zajrzał biédak do butelki,  
No i schlapał się już prawie.  
Czém oburzył pana, panie.  
I potężne dostał lanie.  
— „Hm — pomruknał — wiem co zrobię  
Zemszczę ja się za te złości —  
Na zakręcie stanę sobie,  
I odmawiać będę gości.“  
Ot i zebrał gapiów zgraje,  
I rozpuścił na trzy staje . . .  
I namówił, by gadali,  
Że dziś państwo wyjechali.  
Już i wieczór, już w salonie,  
Panny nudzą się w swém gromie  
Nie zajeżdża nikt i kwita!  
Co to znaczy, — każdy pyta?  
Co to znaczy? pan Barnaba,  
Już z rozpaczy piwo chłapie,  
Już i jejmość trochę słaba,  
Rwie chusteczkę na kanapie.

Panny głośne prawią żale,  
Wszystką młodzież klną w zapale.  
Już dziesiąta gości niema,  
Kucharz w kuchni się téż zżyma,  
I ze złości pomywaczkę,  
Aż trzy razy ciął w jadaczkę.  
Koniec końców, stół nakryli  
Mało jedli, wiele pili,  
Bo aż sługi coś szeptały,  
Że i panny się schlapały.

---

### Z PIEŚNI LUDOWYCH.

Oj! smutny, smutny pan młody,  
Oj! łzami świeci mu oko,  
I tak pobladły jagody,  
I wzdycha ciągle głęboko.

Przecież ma wioski i sioła,  
Jasnym go zowią kmiotkowie,  
I żonę dostał anioła,  
Aż mu zazdroszą panowie.

On przecie smutny i blady,  
Dziwnie spogląda na panią;  
Snać jakieś troski go ranią.  
Snać serce gryzie wąż zdrady.

Słuchajcie, powiem jak było,  
Zkąd cierpień pana poczęcie;  
Co jego czoło schmurzyło,  
Co go tak dręczy zawzięcie.

Oto w dzień piękny godowy,  
Tam w ogrodowej altanie,  
Jeden przyjaciel domowy,  
„Żegnaj mi“ wyrzył na ścianie.

„Żegnaj mi, żegnaj aniele,  
W duszy mój czarno, boleśnie,  
Przez ciebie cierpię tak wiele,  
Przez ciebie umrę tak wcześnie.“

Młody pan zoczył te słowa,  
Bładość pokryła mu lica,  
I krwią nabrzmiała źrenica,  
To była chwila godowa.

---

## SIELANKA.

Tam w ogrodzie młynarza,  
Dziwne dzieją się dziwy;  
Szatan figle wytwarza  
Jak pajazzo prawdziwy.  
O północy w altance,  
Siedzą, kędy powoje,  
Cień przy cieniu kochance.  
Całują się oboje.  
A czytałem już przecie,  
Z ksiąg, co bardzo uczone,  
Że nie chodzą po świecie,  
Żadne duchy stracone.

---

### **Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie prosię.**

Pani Agata, jak często się zdarza,  
Lubo dwóch mężów, pogrzebała wcześniej,  
Lubo te straty odczuła boleśnie,  
Chciała raz trzeci stanąć u ołtarza.  
Chciała . . . bo chciała, a że takie chęci,  
Chyba najsmadniej gotówka uświęci,

I że tę prawdę znała już babina,  
Więc w milionerkę bawić się zaczyna.  
Nowe liberye, eleganckie cugi,  
Dwór odświeżony, pogodziła sługi;  
Tak że na okół mówiono jedynie,  
Że na loteryi wygrała nie mało,  
Ten i ów u niej widział złota skrzynie,  
Licho wie wreszcie co się ludziom zdało.  
Zrazu, wieść owa, jak to wszystkie wieści,  
Dotknęła najprzód personel niewieści;  
Aż też mężczyźni z przeróżnemi względędy,  
Panią Agatę otaczali wszędy.  
Miała miliony, tak fama trąbiła,  
A to rzecz diablo ponętna i miła.  
Miała miliony! pogłoski te wreszcie,  
Wnet się rozbiegły po sąsiedniem mieście.  
Doszły też uszu miejscowych złodziei!..  
I ci ostatni, wśród nocnej zawiei,  
Zwąchawszy jakoś że pani Agata,  
Gdzieś o mil parę czmychnęła do świata...  
A służba, służba, jak to zwykle bywa,  
Gdy nie ma pauza, w karczemce używa.  
Cicho, ostrożnie, pod płaszczem wieczoru,  
Pod płaszczem nocy wdarli się do dworu.  
Kilkaset rubli (wszystką gotowiznę),  
Stroje i cacka, ba! nawet bieliznę,  
Na karb milionów rabus e zabrali.  
Każda wieść smutna lotem ptaka bieży,  
Tak i wieść owa o owęj grabieży,  
Gdy się rozbiegła, znikli aspiranci,  
Matrymonialni wszyscy spekulanci,  
I żal pozostał że blaga to zjadła,  
Gotówkę, srebro, nawet... prześcieradła.

## NA POCIECHĘ.

Dalój w tany graj!	Co strasznie ceni,
Rudy żydku nasz,	Parobka zucha,
Rudy żydku nasz,	Parobka zucha.
Toć to istny raj	Boć to istny zuch,
Gdy skocznie zagrasz,	Jak szczęścia życzę,
Gdy skocznie zagrasz.	Jak szczęścia życzę,
Dziewczyny moje,	Nie chuchrak, nie puch...
Dajcie mi dłonie,	Jak to panicze,
Dajcie mi dłonie.	Jak to panicze.
W podkówki swoje,	A więc dalój graj!
Zaraz zadzwonię,	Rudy żydku nasz,
Zaraz zadzwonię.	Rudy żydku nasz,
Aż się zczerwieni	Toć to istny raj
Miła dziewucha,	Gdy skocznie zagrasz,
Miła dziewucha,	Gdy skocznie zagrasz.

---

### OBRAZEK PARAFIALNY.

Na jednej wiosce, ojcowskiej glebie,  
Pani Barbara rządziła sobie;  
Ot opływała w miodzie i chlebie  
I grosz się znalazł w potrzeby dobie;  
Nie brakowało nic kobiécinie,  
Ptasiego mléka chyba jedynie.  
A wdową była pani Barbara,  
Co prawda brzydka ale nie stara;  
I jak kobiéta, zachciała przecie,  
Jeszcze coś użyć na bożym świecie.  
I po namyśle jak się to zdarza,  
Kazała wezwać Jankła pachciarza.  
I przybył Jankiel i w długiej chwili,  
Strasznie tajemnie z sobą mówili...

A kiedy wyszedł, czytałeś z twarzy,  
Że o potężnych korzyściach marzy.  
Tak minął tydzień. Jakoś na gody,  
Przed dwór zajechał podróżny młody.  
Przyjęty mile... gadu i gadu...  
Pogawędzili aż do obiadu.  
O czém, to Bóg wie. Pani Barbara,  
Splatać miłośnie gościa się stara...  
I znać dopięła swego kobieta,  
Bo do wieczery został i kwita.  
A w miesiąc zadość czyniąc już sercu,  
Wdówka na ślubnym stała kobiercu.  
Młodzieńcem owym był ot! agronom.  
Niby to rządca, niby ekonom,  
Który za sprawą Jankła pachciarza,  
Dostał tu ciężką rolę włodarza.  
Jak się tam wiedzie nowój tój parze,  
To wie już Jankiel, bo za to stadło,  
Nie mało guzów na grzbiet mu spadło,  
Ale i roczny pacht dostał w darze...

---

### Nie należy dwóch srok trzymać.

Lorcja była bogata; dziedziczka trzech wiosek,  
Miała twarzyczkę kształtną, kształtny mały nosek,  
Oczęta jak z błękitu, rączkę pulchną, białą,  
Nóżkę prawie dziecięcą, postawę wspaniałą,  
Ot słowem wszystko miała, wszystko co do joty,  
Wszystko, co budzi miłość, zapal i pieszczoty.  
Mama Lorci — gdyż mamę tylko Lorcja miała,  
Była kobietą serca — tak się przeżywała.  
Lubiła świat wykwintny, wesołe zabawy,  
Karnawał więc spędzała wśród murów Warszawy.  
A że była przystojną i jeszcze nie starą,  
Lwy więc matkę i córkę otaczali chmarą,

Aż jeden — a lew to był bogaty i młody,  
Znany z gustu, z przepychu, niezwyklej urody,  
(I w nim to naturalnie jak gruchnęła fama)  
Zakochała się córka, zakochała mama.  
On wzajem kochał obie, ot i w tém zasługa,  
Że o miłostkach jednej nie wiedziała druga.  
Aż wreszcie wszystko koniec musi mieć na świecie,  
Że padły ofiarami, poznały to przecie;  
Obie poślubić trudno — łatwiej rzucić obie,  
One też w miesiąc mężów wynalazły sobie.

---

### Pies przyjacielem.

Zajęczał dzwon szpitalnej wieży,  
W grabarni świeżo złożono ciało;  
Tak zwiędłe, suche, że ci się zdało,  
Iż zasuszone zdawna tam leży.  
Brew tylko gęsta, czarna w około  
Zda się stroiła oczy i czoło.  
A uśmiech dziwny stroił jój wargi,  
Tak gorzko jakoś wlepił się w ciało;  
Że ci się patrząc wyraźnie zdało,  
Iż głosi same bole i skargi . . .  
A ludzie, ludzie zawsze ci sami,  
Głuchemi szeptu głosili sobie,  
Że chociaż zmarła żyła z panami,  
Pies jeden tylko wył na jój grobie.

---

### ZAWODY.

Było ich dwoje, dwoje i o zmroku;  
On pochylony szeptał jój coś z cicha  
A ona ręki jego... nieodpycha,  
I zajaśniała łza w dziewicy oku.

W rok później, znowu spotkałem ich dwoje;  
On szedł ulicą, dziwnie jakoś blady,  
A ją przybraną w brylantowe stroje,  
Żyda lichwiarza, unosił cug gniady.



## BEZ TYTUŁU.

Szkic do powieści.

---

Dwór pani Praksedy zawrzał rozbudzoném życiem, tém huczniej, tém żywiej, że rok przeszło, w ciężkiej przebywał żałobie po nieodżałowanej pamięci... Filusiu pieszczochu i faworycie pani, który tak figielkami umiał zyskać względy, że kiedy w chwili wyczerpania wszystkich leczniczych środków, biegły weterynarz ogłosił jego zniknięcie, pani Prakseda głośno zapłakała, i z powagą godną okoliczności, rozkazała na wyniosłym wzgórkusie usypać mogiłkę, do której przyczepiono blaszaną kartę, na której wyraźnie, miejscowy rymarz zrymował dwuwierszyk:

Każdy na świecie koniec swój mieć musi,  
Śmierć nielitośna nawet i psów dusi.

Smutny a wczesny koniec pieszczocha wpłynął nie mało na usposobienie pani Praksedy; z początku żalóść jój była okropna, zwolna przemieniła się w smutek, nakoniec cicha rezygnacya zapanowała wszechwładnie. To powiedziawszy, bliżej musimy przypatrzeć się pani, jak też całemu jój otoczeniu. Pani Prakseda w obecnej chwili liczy zaledwie lat trzydzieści kilka, od lat sześciu w wdowim pozostaje stanie — co przy powabnej powierzchowności i powabniejszym majątku, zadziwiłoby mogło, gdyby niezwykła duma téj arystokratki nieusprawiedliwiała wdowieństwa. Pani Prakseda jest istotnie dumną, dom swój na pańskiej utrzymuje stopie, to też wstęp do niój dla

zwykłych śmiertelników trudny — niezwykli zaś których wreszcie mało, nieodpowiadają jęj chęci. Kto wie może i inne krępują ją względy, może obawa złęgo wyboru, w obec dorastającego syna, bowiem pani Praksesta ma jedynaka, dwunastoletniego infanta, który pod okiem mamy jako tęż panny Żanety nauczycielki z nad Renu, zdołał już nauczyć się czytać po francuzku, i z całą łatwością syllabizować po polsku. A miłe to paniątko istotnie. Rosły, blady, z pojęciami rodowej dumy, wszczepionemi przez mamę, w kolebce jeszcze nazywał się jasnym paniczykiem, nic więc dziwnego, że jasność ta olśniła chłopczyka, a wszechwładna wola dziecka, której i matka ulegała chętnie, wyrodziła upór. Biada temu, kto śmiał sprzeciwiać się woli malca, albo tęż zwlekać spełnienie jego rozkazów; natenczas Władysław bladł i rumienił się z gniewu, zaciął drobne pięście i tupał nóżkami... okropność!

Panna Żaneta francuska mieszanego pochodzenia, sama tylko nieograniczoną miała nad nim władzę. Umiała pieśczoćami tak ujarzmić malca, że jęj ulegał zupełnie.

Była to sobie przyjemna pannica; wieku oznaczyć jęj trudno, drobne dobrze konserwowane rysy, oznaczały mniej więcej trzydziestkę, że jednak panna Żaneta od lat 7 liczyła 20, a nas metryka nieobchodzi, jakoś możemy tedy zgodzić się i na to.

Na wstępie powiedzieliśmy, że dwór pani Praksesty zawarzał niezwykłym ruchem, przyczyną czego były właściwie urodziny Władysławia, które rok rocznie sprowadzały licznych gości, przeważnie dam z któremi pani Praksesta żyła poufalej. Była to nierzadko zabawa samych dam — mężczyźni bowiem uroczystość ową uważali dziwacznie błahą albo pomijali niepamięcią. Niektórzy tylko, zjeż-

dźali w dniu owym nie dla Władysia i jego urodzin ale dla wdowy samój, [do czego dzień ów był dobrą sposobnością.

W południe zaraz trzaskanie z bicza, oznajmiło jadących gości i za chwilę pani Praksedą witała na ganku dwie strojne jęjmoście. z których starsza, lat z pięćdziesiąt mająca, o szczupłej twarzy i maleńkich siwych oczach, raczyła nazywać się prezesową, młodsza zaś wyraźnie jednak pełnoletnia, przyjemnej powierzchowności blondyna, była prezesówną, szczęśliwą jedynaczką pani prezesowej.

Damy te po czułych przywitaniach i czulszych życzeniach Władysiowi, zasiadły do ożywionej rozmowy, którą ożywiło jeszcze przybycie paru dam i cała rodzina X. reprezentowana przez podeszłego już papę, podeszłą mamę i prześliczne dwie córki, Zosię i Kocię uchodzące za najpiękniejsze kwiaty w okolicy. Były one istotnie piękne. Rosły, smukłe brunetki, o niebieskich oczach, różanych licach, przy skromnym, pełnym prostoty obejściu, niemogły nie wywrzeć wrażenia, to też za ich przybyciem, poczynający trzynasty roczek Władys, dziwnie rozweselił twarzyczkę i na chwilę nawet nie odstępował piękności, co oburzało pannę Żanetę, dla tego może, że nie mogła wybaczyć pięknym siostronom iż są piękniejsze od niej.

Władys jednak nie wiele zważał albo nie pojmował oburzenia nauczycielki, bo bez przerwy opowiadał pannom, że mają takie ładne oczy, takie zgrabne rączki, takie czarne włoski, co naturalnie w dziecinnój branie monecie zabawiało piękności.

We drzwiach salonu ukazał się gość nowy.

— Pan Edmund! razem wyrzekły panny — to dla nas, szepnęły sobie z cicha.

Pan Edmund był to młody przystojny mężczyzna lat trzydziestu może, o śniadój równych rysów twarzy, zdobnej sumiastym wąsem. Zręczne swobodne ruchy zdradzały salonowca — a przynajmniej ciągle ocieranie się w towarzystwach. Wejście pana Edmunda zachmurzyło twarzyczkę Władysia, rozjaśniło za to pannę Żanetę, co zdradzał najprzyjemniejszy uśmiech.

Pani prezesowa znacząco spojrzała na pannę prezesównę, która lekkim uśmiechem, dała poznać, że pojmuje sygnały matki.

— Sąsiad — witała pani Praksesta, — tak skąpo udzielać się nam raczy.

— I nam — zawtórzyła pani prezesowa, — ja, dodała zwracając się do gospodyni, to co innego, udzielam się chętnie i zawsze.

— Dobroć pani prezesowej dobrodziki — przemówił pan Edmund, znana powszechnie. — Obowiązki domowe, potrzeby gospodarcze — rzekł zwracając się do pani Praksesta, pozbawiają mnie smutnie możności, korzystania z zaszczytnej życzliwości pani.

— Jaki on dziś ładny, szepnęła Zosia siostrze, jak go pochłania wzrokiem ta Żaneta.

— Co to jest — gniewnie mruknęła Kocia, patrz, z francuzicą wita się tak czule...

— Uważasz — rzekła pani X. do małżonka — prezesowa zielenieje ze złości, z dorydą jej nie rozmawia wcale.

Te i tém podobne szeptu towarzyszyły przybyciu pana Edmunda — dopóki rozmowa nie stała się ogólną.

Rezolutny dotąd Władysław oniemiał zupełnie. Gniewało malca, że panny tak mało zwracają nań uwagi, co naturalnie przypisywał obecności Edmunda.

— Czemuż ja starszy nie jestem w tej chwili — roił sobie Władysław, wszyscy uważają mię za dziecko, a ja przecie...

— Mam najświeższą polkę, pochwaliła się pani Praksesta i jeżeli panna Zofia...

— Chętnie, pochwyliła Zosia i za chwilę drobne paluszki, mknęły po klawiszach fortepianu.

— Czy uważa pani — przemówił Władysław do Żanety, że ten Edmund, coś za blisko z mamą, nawet i rączki ścisną sobie, fiu! fiu! fiu! to mi się niebardzo podoba.

Nauczycielka, uwagę Władysława znalazła słuszną, bo skrzywiła się wyraźnie.

— Mamo, bąknęła panna prezesówna — ta Praksesta umizgi jego przyjmuje tak słodko.

— A dobrze ci tak, kiedyś niezręczna, tyle razy był u nas przecie a tyś nic zgoła nie zrobiła jeszcze.

Panna prezesówna posiniała z zazdrości.

— Już to ja sama jestem winna prawda, ale i mama swojemi grzecznościami i upartą obecnością, psuła mi humor. Jednak za wygraną nie oddaję jeszcze.

— To dobrze moje dziecko, zakonkludowała pani prezesowa. Wytrwałość w kobiecie, jest całą jej wartością.

Nowa polka, podobała się ogólnie; nastąpiły też inne klasyczne utwory, jakoto: „Piękna Helena“ „Życie Paryżkie,“ co już z niekłamana werwą oddała panna prezesówna.

— Fipciu! wyjąkał raz przecie pan X. do małżonki, możeby tak Edmunda...

— Mężu — przerwała pani — to rzecz już moja, — ty tylko nie mów tak dużo.

— Ależ... wypada Fipciu z sąsiadem...

— Mężu! rozgadałeś się dzisiaj.

— To mi muzyka, zawołał Władysław, to mi prawdziwe paryżkie życie — panno Żaneto! ja się tego nauczyć muszę koniecznie.

Panna prezesówna tryumfująco wstała od fortepianu, nagrodzona oklaskami, pani prezesowej i Władysławia, do których nawet przyłączył się i pan Edward z dziwnie złośliwym uśmiechem.

Tryumf panny prezesówny, dłużej by trwał pewnie — ale słodkie zaproszenie gosposi, powiodło zebranych do stołu, gdzie mimo różnych humorów i usposobień apetyt dopisywał wszystkim, i nie jeden kieliszek, przelał się w maleńkie gardziołko Władysławia.

Nie jedna z pięknych czytelniczek naszych, w nieharmonijnym tym szkicu dopatrzyła się jednak, że p. Edmund interesował nieco nasze towarzystwo, że panna prezesówna roiała jakieś zamiary, że piękne, Zosia i Kocia obiecywały coś sobie, ba! i panna Żaneta ukrywała coś w myśli... nawet arystokratyczna gosposia do myślenia daje nieco a tém samém wypada nam co prędzej wyjaśnić, że wyjaśnienie tych kwestyi pozostawiamy samém czytelnicz kom.

## OBRAZEK Z PARAFII.

Dwór państwa Jacków, był wykwintnym dworem, raz dla tego że murowany i schludny, a potem dla wewnętrznego ustroju, do czego kilku tapicierów, przyłożyło dłonie.

Pan Jacek miał żonę, żona pana Jacka była to sobie najpospolitsza Jackowa; rosła i pulchna, nie grzesząca zbytkiem rozumu, ale też, przyzwoicie przyzwoita.

Państwo Jackowie nie mieli dzieci, czego pan Jacek zrozumieć nie umiał. Mieli majątek i majątek duży, i jak to u nas, zadłużony sporo.

Raz się trafiło, co wreszcie i częściej trafić się mogło, że interesy, zagnały pana Jacka do Warszawy, gdzie mimo chęci, kilka tygodni przesiedział.

W czasie tym, pani Jackowa wiodła wdowi żywot, pocieszana zaledwie odwiedzinami sąsiadów, którzy na nie-szczęście pana Jacka byli sobie ofiarami celibatu.

Pociechy takich sąsiadów wywoły... pociechę, która o dziwy, uszczęśliwiła pana Jacka.

— Pan Jacek został ojcem młodego Jacka. Szczęście swoje niebawem rozgłosił po całej okolicy; sąsiedzi jednak infanta państwa Jacków nazywają i dotąd „Infantem Rejentki.“

---

## ŚWIETNY BENEFIS.

Pani Agrypina była kobietą, naturalnie nikt o tém wątpić nie powinien; a przecie byli tacy, co w żaden sposób do płci pięknej zaliczyć jęj nie mogli; była bowiem brzydka, brzydko brzydka. Nabrzmiałe jęj policzki, mówiły jakoś, że ich usteczka spotykJają się często z pŁodem

Gambrinusa, spłaszczony nosek, coś o chronicznym mającym katarze a oczy, pod rzadką rudą brewką, nie zbyt idealną malowały duszę.

Z tём wszystkiём pani Agrypina była powabną i diable powabną.

Powabem jój była wioska, dziewicza wioska, nie tknięta żadną wierzytelnością.

Tak, pani Agrypina miała dobra, a w dobrach jój gospodarzył sobie quasi rządca, a gospodarzył dobrze, albowiem prawie każdego roku bywał urodzaj.

Licho sprawiło, że quasi rządca na kilka godzin wyjechał do miasta i licho znowu sprowadziło licho w postaci młodego przystojnego chłopaka.

A rzecz się tak miała.

Po odjeździe rządcy, pani Agrypina usadowiwszy się na kanapie, naprzeciwko lustra, admirowała rozrosłe swe wdzięki. Po chwili westchnęła ciężko i westchnieniu temu towarzyszyło smutne: niestety! W tём nagle, zaturkotała bryczka i we drzwiach pokoju ukazał się bardzo przyjemny młodzieniec.

Pani Agrypina zatrwożyła się bardzo; kostium jój bowiem zostawiał wiele do życzenia i byłaby zapewne opuściła gościa gdyby wyraził: Jestem aktorem, nie uspokoili jój nieco.

Aktor, pomyślała sobie, nie ma po co robić ceremonii i uśmiechnąwszy się słodko, zapytała *o przyczynę bytu*.

Przyczyna była prosta. Aktor z towarzystwa bawiącego w sąsiedniém mieście, przyjechał z benefisem; rzecz więc wypowiedział krótko, a jednak w głosie jego było tyle dźwięku, tyle pochlebstw, że pani Agrypina uprzejmie



zaprosiła go na śniadanie. Po śniadaniu zaprosiła na obiad i czas na miłej gawędzie jakby na skrzydłach ulatał.

— Ach! zawołała pani Agrypina, ja kocham sztukę, kocham artystów.

— Ach! zawtórzył aktor, jakże nie kochać tych co nas kochają.

— Ach!

— Ach!—kilka, ach! wydobyło się jeszcze, zagłuszając przyjazd rządu, który też wkrótce ukazał się w pokoju, i za chwilę później wybiegł z piorunującym wyrazem:

— Zabiję!

Co właściwie było przyczyną téj groźby, tego co prawda odgadnąć nie mogliśmy, mówiono nam jednak, że aktor ten benefis swój, do najświetniejszych zaliczył.

---

## NA PARTYKULARZU.

Miasteczko J., odznaczało się tém od wielu podobnych sobie, że należało niegdyś do znanéj rodziny hrabiów, którzy to hrabiowie, znani znowu byli, z wielce hrabiowskiej buty i pańskiej rozrzutności. Rozrzucali téż Jaśnie Wielmożni, rozrzucali — aż téż rozrzucili wszystko, zostawiając zaledwie pańskie swoje ślady w zardzewiałych i omszonych herbach.

Zwolna téż, z upadkiem panów, upadło miasteczko, aż w końcu, straciwszy najmniejszy pozór europejskiego miasta, stało się tém, czém oglądamy je dzisiaj, brudną błotnistą osadą, zaludnioną przeważnie dziećmi Izraela, znanemi wreszcie z zamiłowania porządku i czystości.

Schludny ten ludek rozwielił się tu bardzo a pojawiwszy, jakie właściwie ztąd ma ciągnąć zyski, pozakładał karczmy i karczemki i to w takiej liczbie że mieścina ta, śmiało pod tym względem, z większemi nawet pójść może o lepsze.

Prócz karczem naturalnie był tu i kościółek wprawdzie opuszczony, odarty, liczył jednak wiernych nie mało, ale mało takich, którzyby o powierzchowność jego troszczyć się chcieli, toć każdy przecie kłopotów ma tyle...

Ludność mieściny nieliczna, na liczne jednak dzieliła się kasty. Najprzód... arystokracja, reprezentowana tutaj przez wielmożnego pana doktora, wielmożną panię doktorowę, wielmożnego pana aptekarza, wielmożną panię aptekarzową, wielmożną pannę aptekarzównę i pod wielmożnego pana aptekarczyka. Następnie, wielmożny pan rejent, wielmożna pani rejentowa, wielmożne trzy panny rejentowny — i wielmożnych dwóch rejentowiczów.

Wielmożni owi zamykali listę artystokracji krwi czyściej. Dalej następowała arystokracja pieniężna, uosobiona w postaci pana Glücksona, kupca, vel bankiera, który, ze względu na materyalne położenie, dobrze był przyjmowany wszędzie, a zwłaszcza wtedy, kiedy arystokratyczne kieszenie naszych arystokratów, plebejuszowską przybierały minę.

Po za tymi, następowali dopiero: sławetny rzeźniczego kunsztu majster pan Kleofas Szponder, dziedzic na dwóch straganach vel jatkach, znany z potężnej siły i potężniejszego apetytu, który właściwie reprezentował mieszczan, ciesząc się zasłużonym szacunkiem. Jakkolwiek nie wchodzi to w zakres naszego opowiadania, za-

znaczyć musimy, że był właścicielem sześciu morgów gruntu, kilkunastu wołów, licznej trzody chlewniej i siedmiorga dzieci.

A kiedy mówimy o nim krzywdą by było, zamilczeć o zacnej jego połowicy, która na część swoją, więcej od małżonka domaga się wzmianki. Była to bowiem bardzo okazała niewiasta, wyższa od najwyższego w mieście mężczyzny, pulchna do podziwu; piękna Flora zarumieniłaby się pewnie, na widok tuszy pani Kleofasowej, z którą przecie, popisywać się lubiła. Małżonkowie ci, mieli także arystokratyczne swe koło, złożone z kuma Marchewki, znanego adepta botaniki, w dziale uprawiania marchwi, cebuli i włoszczyzny w ogóle; kumci Agaty, po dziś dzień utrzymującej restaurację pod „słońcem“ i kilku jeszcze kumów i kumoszek.

O innych niemniej zajmujących sferach, zamilczeć musimy a to dla tego tylko, że w kalejdoskopie życia, prócz śmiesznośtek, i łyzy poruszyć by trzeba.

Tak zeszkicowawszy ważniejsze stronnictwa w tém mieście, przystąpimy do istoty rzeczy.

W sobotę dnia... ale to nie obchodzi was pewnie, w domu rejenta niezwykle działy się rzeczy. Od południa zaraz, Kaśka i Antek dwupłciowa służba rejentostwa, uwijała się tu i ówdzie, znosząc naprzemian wino i piwo z różnemi przybory, co nie pomału zadziwiało wszystkich, tém więcej, że znana oszczędność rejenta graniczyła nie rzadko ze skąpstwem.

— Co to jest, co to tam będzie, zapytywały kumoszki uroczyście przybraną Kaśkę.

— Czy zaręczyny, czy wesele jakie, a gadaj że Kasiu, boć pomrzemy z ciekawości.

— Ej ta — odpowiadała Kasia, dumna, że ona teraz jest celem ciekawości, i panią wielkiej tajemnicy.

To widzita — rzekła — dziś mojego pana imieniny a panny i panicze, i ta sztywna panna od japtekarza pokazywać będą jakiś téjatr.

— Téjatr — powtórzyły zgromadzone damy — a co to jest téjatr ?

— Co to jest — oburknęła pani Marchewka — i wy jeszcze tego nie wita, toć to przecie był tu nie dawno komedyant, z psami i małpą, co to nieprzymierzając taka podobna do twego starego.

— Widzisz ci ją — mój stary brzydki to brzydki — ale znów do jakiegoś bydłęcia podobizny niema. Wielka mi pani, dodała obrażona, ujmując się pod boki, jeżeli ja mam brzydkiego męża, to twój mąż zato ma nie tęgą żonę.

— Ha! ha! ha! zaśmiały się z konceptu kumoszki.

Pani Marchewka, posiniała z gniewu — i byłoby może przyszło do czynniejszych jeszcze obrażeń — ale w téj chwili ukazał się idący pan rejent a cała gromada pospieszyła złożyć mu życzenia.

Gdy się to dzieje, przed dworkiem rejenta, w samym dworku, nie mniej zajmujące spotykamy sceny. Pani rejentowa, w kuchni bryluje wyraźnie. Kłątwy i krzyki, rozlegają się na okół — kilka sąsiadek przybyłych z pomocą, powiększają jeszcze wrzawę.

— Szpikować zająca, pieczeń ma już dosyć — a splucze że sałatę, — te i tém podobne krzyki dobiegają aż do salonu, gdzie istotnie zaimprovizowano amatorski teatr.

Tu także krzyki i wrzawa. . Panna Floryna najstarsza córka rejentostwa, głośno przepowiada sobie rolę. Uśmiech

zadowolenia okraślił jęj usta; wszakże pokaże się publicznie, rolę amantki wypowiadać będzie — a ile to czucia, ile pieśczoćy włoży w swoje słowa, będzie tryumfować, odkryje światu ukryty talent, to zachęci pana Ludwika, oh! bo panna Floryna kocha Ludwika.

Pan Ludwik! toż to najponęćniejsza w świecie partya; młody, przystojny i... obywatel z sąsiedztwa.

Wprawdzie, że pan Ludwik, nie okazał dotąd żywszego zajęcia, niezdradził marząćej pannie nawet odrobiny uczucia, przeciwnie nawet okazywał jawnie lekceważenie i szyderstwo ale panna Floryna pojęła to inaczej, żądna miłości, miłość widzi wszędzie.

To też od rana zaraz przygotowała sobie najwykwintniejszy kostium, mało się troszcząc o młodsze siostrzyczki, które jakkolwiek dobrze pełnoletnie, za podlotki uchodziły dopięro.

Jedyna chmura goszcząca na czole panny Floryny jest ta, że niesympatyczny jęj pan Adam (aptekarczyk) grać będzie kochanego kochanka. Gdyby to Ludwik!

Kiedy panna Floryna roi tak słodko, Fipcia, młodsza panna rejentówna, nie zaniedbuje niczego, byleby także pokazać się ładnie.

Miała to i przesliczna panienska, wprawdzie że wobec skończonych lat dwudziestu czterech, dziecięciami nazwać jęj niemożna, z tém wszystkim, wygląda świeżo i wabnie a w główce jęj falują także romansowe myśli. Niesympatyczny pan Adam, jest dla nięj właśnie, sympatycznym panem Adamem. Zazdrości siostrze, że słowa miłości wypowiadać mu będzie obojęćnie, gdy ona tymczasem, wypowiedziała by je z całym zapalem kochająćego serca.

Niemniej i pan Adam kochanek, bohater dzisiejszego wieczoru, przygotowuje się także. Próżny z natury, cieszy się wielce że w obec samej śmietanki towarzyskiej popisać się może. Zadowolenie to, zakrapia anyżówką, pewien że ta rozbudzi jeszcze artystyczną wenę.

Ogólnych rojeń i projektów, nie podzielał tylko pan rejent. Jasno jak na dłoni wypisany rachunek, pokazuje szczęśliwemu solenizantowi, że urządzenie teatryku, sprawienie paru nowych sukien amatorom, wyprawienie sutěj bo na kilkanaście osób kolacyi, wyciągnęło z jego kieszeni, rs. 167 wyraźnie sto sześćdziesiąt siedm kop. 49 i  $\frac{1}{2}$ .

To też, po kilkakrotném przejrzeniu rachunku, zachmurzyło się łyse czoło rejenta; splunął gniewnie, i rozkazał poprosić małżonkę.

— Do diabła — przywitał wchodzącą — dowiedz się moja pani, że wasz projekt teatru i przyjęcia, jest najgłupszym projektem, jaki kiedykolwiek wymyśliły kobiece mózgi.

Pani rejentowa silnie wytrzeszczyła oczy.

— Co bo jegomość upatrzył znów sobie. Toć to dzieciny zabawią się trochę — a i sąsiadom zaimponujemy nieco.

— Ja to wiem. Tobie też o to jedynie tu chodzi — ale masz, spójrz, dodał podając żonie rachunek.

Pani rejentowa nie bez skrzywienia przejrzała rachunek — ale uśmiechając się słodko odrzekła:

— No i cóż tak wielkiego! drogo, bo drogo — ale mój drogi, mamy przecie córki...

— A mamy — westchnął pan rejent.

— Może też, mówiła pani dalej, przyda się nam na co. Sąsiedzi się zejdą, zjedzie ktoś i ze wsi, a Ludwik...

— Daj Boże! daj Boże — z powątpiewaniem zakończył pan rejent.

.....

Wieczorem, rześnistym światłem zajaśniały salony rejentostwa. Gwar i ruch był wielki. Pod oknami dworku, całe niemal miasto zbiegło się, dla przypatrywania się choć z po za okien, nieznanemu teatrowi — i wchodzącym gościom, których co prawda zeszło i zjechało się dosyć. Część salonu przedzielono zielonemi kotarami, stanowiącemi rozsuwaną kurtynę. Ustroj sceniczny był prosty salonowy, zastosowany do sztuczki którą odegrać miano. Wchodzący otrzymywali program, który dosłownie przytoczyć musimy:

## TEATR AMATORSKI.

Na uczczenie imienia drogiego

**PAPY.**

Amatorowie odegrają 1-no

Aktową Komedję p. t.

**„Narzeczeni“**

Napisaną przez p. Adama X... miejscowego podaptekarza.

O S O B Y.

Zofia S. wdowa młoda — panna Floryna, Edmund młody obywatel — pan Adam, Marysia pokojówka Zofii — panna Filipina. Suflerować będzie — pan Włodzimierz. Rzecz dzieje się na wsi.

### Na zakończenie:

Panna Floryna odśpiewa Aryę z Violety (Traviaty).

p ó ż n i é j :

Pan Adam odśpiewa: „Szumią jodły na gór szczycie.“

---

Program ten, na pięknym listowym wypisany papierze, rozdawała przy powitaniu pani rejentowa, komentując treść sztuki i jej wartość. Pan rejent, z uśmiechem przyjmował składane życzenia — i zostawiwszy kłopoty przyjęcia małżonce, z doktorem i aptekarzem, zasiadł do preferansa.

Damy zaś, zabawiały się jak mogły, a bawiły się nie źle — boć tam ploteczek niezabraknie nigdy.

Prócz znanych arystokratycznych rodzin, było tam okolicznego obywatelstwa dosyć, między innymi, znajomy nam z rojeń panny Floryny pan Ludwik.

Był to istotnie, młody przystojny blondyn o rumianém, ogorzałym licu, przystrojoném — w duże niebieskie oczy — i w jasne małe wąsiki. Liczył nie więcej nad lat dwadzieścia kilka, znajomość jednak ludzi i życia malowała się w każdym jego ruchu i spojrzeniu.

Pan Ludwik, był celem ciągłych starań i grzeczności ze strony pani rejentowej i przyznać trzeba, że przyjmował je wdzięcznie, z pewnym zadowoleniem nawet.

Nie tylko pani rejentowa, darzyła pana Ludwika swemi względami; pani aptekarzowa również traktowała go mile, uśmiechając się słodko ile razy rozmawiał z ukochaną jej pieszczotą.

Panny tymczasem przygowywały się na scenę. Już



panna Floryna dokończyła strojów; zadowolona z obecności pana Ludwika, już i powabna Fipcia, w lekkim stroju subretki, przechadzała się po scenie; już i Włodzio młody rejentowicz ulokował się między paru krzesłami aby niewidzialnie, podpowiadać role, zadzwonił pierwszy raz na przygotowanie się aktorów i publiczności, co naturalnie odciągnęło rejenta, doktora i aptekarza od rozpoczętej pulli, z całkowitą niezadowoloniem rejenta, który prócz dziewięćdziesięciu zgranych, miał już około pięćset wistów: nawet panna aptekarzówna rozpoczęła przedwstępną introdukcję, a to już zupełnie przygotowało gości.

W pierwszym zaraz rzędzie ulokowały się damy, w następnym i w innych mężczyźni, oczekując rychło rozsunie się kurtyna.

Rozsuniecie to jednak przewlekało się długo. Godzina rozpoczęcia dawno już minęła; dzięki opóźnianiu się pana amanta, którego do tej chwili daremnie wyczekiwano, co naturalnie, do rozpaczki doprowadzało nasze amatorki.

Dwugodzinne oczekiwanie, widzów niecierpliwiło strasznie. Zimny nawet pan rejent pobiegł za kulisy, ażeby zbadać przyczynę zwłoki. Niestety! zwłoka tu była nieodzowna, nieodzowna, aż... aż... do wytrzeźwienia się amanta, który od rana zaraz, dla nabrania animuszu zakrapiał się anyżówką—aż też wieczorem, zakropił się zupełnie.

Rozpacz panny Floryny była nie do opisania. Szmerzy obecnych potęgowały ją jeszcze. Oburzenie było ogólne, nawet pan rejent rozczzerwienił się ze złości. Tyle kosztów, tyle zachodów, mrucał pod nosem i wszystko, wszystko diabli wzięli dzięki opilstwu amanta.

Jakkolwiek teatr amatorski nie przyszedł do skutku— próbowano jednak bawić się jakkolwiek. Ale mimo wysiłków i perswazyi, panny nie odzyskały już humoru, co naturalnie wpłynęło na wszystkie usposobienia. To też pełna nadziei zabawa, rozwiąła się wkrótce z wielkiem niezadowolaniem rejentostwa.

Nieprzyzwoite znalezienie się, a właściwie zupełne nieznanie się, opłacił pan Adam kosztem miejsca, z niemałym żalem Fipci, która gotową była wybaczyć wszystko — byle go nie stracić na zawsze.

# DZIAŁ DRAMATYCZNY.

## BEZ TYTUŁU. (OBRAZEK SALONOWY).

### O S O B Y:

KLOTYLDA, żona Maurycego.  
MAURYCY, naturalnie mąż Klotyldy.  
LEON, przyjaciel domu — obojga.

### S C E N A I.

(W mieszkaniu Klotyldy).

*Stolik — na stole karty — przy kartach Klotylda z Leonem. — Północ.*

Klotylda (ucieszona).

Zgrałam więc *siedm trefli!* ja dziś ogram pana,

L e o n.

Wybornie! — gdyby chociaż trwało to do rana...

(*całuje rękę jój*)

Klotylda (wydzierając rękę).

No dosyć. Któż więc daje?

L e o n.

Pani, tak wypada.

(*Po rozdaniu i licytacyi*)

<http://rcin.org.pl>

Klotylda.

Brzydki *renons*... dał *newkę* i starego dziada.  
Co ja tu teraz zagram?... *caro caro* tylko...

(*zadaje*)

Czemuż pan nie oddajesz? zamyślasz się panie...

L e o n.

Chcę łapkę pocałować.

Klotylda.

Daremne żądanie,  
A wreszcie całowałeś dopiero przed chwilką.

L e o n (srożąc się).

Kiedy nie, to zatrzymam — bez dwóch pani wpadnie.

Klotylda.

Bez dwóch, to z pańskiej strony co najmniej nieładnie.

L e o n.

A skąpić pocałunku... jak to się nazywa?..

Klotylda.

To mniejsza!... ale w co ja wyjdę, nieszczęśliwa?

L e o n.

W co? — w łapkę — a ja białą łapkę pocałuję  
Raz tylko, no i piątę przepuszczam...

Klotylda.

Tak, czuję...

A szósta? Oto wiész pan... tak panie Leonie!  
Przepuść dwie, no i całuj wreszcie obie dłonie.

L e o n (naturalnie całując).

Pani jesteś najlepsza!

Klotylda.

A pan niegodziwy!  
Żeby... aż gryźć mi ręce...

L e o n.

Oh! bo jam szczęśliwy!...

Klotylda.

No... no... pan dajesz karty.

L e o n (w milczeniu rozdaje).

Klotylda (układając, liczy).

Bravo! doskonale  
Jeszcze *as!* Cóż pan powiesz?

L e o n.

Passuję.

Klotylda.

Wspaniale!

Gram dziewięć.

L e o n.

Dziewięć?

Klotylda.

Dziewięć!.. zgadnij pan w co?.. w *caro*

L e o n.

Ślicznie! nie wyjdzie pani żadną, żadną miarą,  
Biorę jedną na *caro*...

Klotylda.

Biędna ja kobieta.

A więcéj

L e o n.

na *pikowego* czwartego *Waleta*.

Klotylda.

Brzydki rozkład do licha! niechę tak, już wolę,  
Żeby mi pan przepuścił, ten raz... i ostatni...

L e o n.

Z warunkiem — pozwól pani na śliczném twém czole,  
Złożyć mi pocałunek...

Klotylda (obrażona).

Pocałunek!

L e o n.

Bratni.

Klotylda.

Ja niechę.

L e o n.

Bratni przecie, to nic, nic nie szkodzi.  
(*porywa ją w objęcia, słycać stapania*)

Klotylda.

Słyszysz pan? jakieś kroki... to mąż mój nadchodzi.

## S C E N A II.

(Ciż sami i Maurycy).

Maurycy (zgarbiony i siwy).

(*do Leona*)

Ha! ha! ha!... tyś tu jeszcze... wdzięcznym ci Leonie?

(*do żony*)

Nie nudziła się przecie pieszczota kochana!...

(*całuje ją w czoło*)

Gdybym wiedział siedziałbym w resursie do rana,  
Bo staremu tam miło gwarzyć w starych gronie.  
Nagada się, zgra pulkę...

Klotylda.

I myśmy też grali

Preferansa...

Maurycy.

Ha! ha! ha! toście się dobrali,  
Śliczna para fuszerów... ha!... ha!... paradnie,  
Jakieście pudłowali, odgaduję snadnie.

(z dumą) To nie ja! ot! słuchajcie! czy wiecie,  
Rzecz chyba niewidziana, niesłyszana w świecie.  
Trzy totusy bez atu wyciąłem...

L e o n.

Czy może...

Maurycy.

Nie wierzysz? o co zechcesz chętnie się założę.

L e o n.

To dziwna!

Klotylda.

Trzy totusy!

Maurycy.

Na honor — ale mniejsza o to,  
Opowiem wam dokładnie — (do Klotyldy) ale wiesz, z ochotą  
Napiłbym się ponczyk i Leon...

Klotylda.

W tej chwili...

Maurycy.

Poznacie moją zdolność — poznacie wnet mili.

Klotylda (przychodzi).

Maurycy.

Co to gra! ale... ale mój Leonie drogi  
Powiedz! jeśli ci miłe domu mego progi,

Przychodź! przychodź tu co dzień... bo powiem ci szczerze  
Że mię często okropną... gwałtowna złość bierze,  
Wracać co dnia tak wczesnie, — a ona się nudzi,  
Jój trzeba towarzystwa wesołego, ludzi;  
Tyś nie żaden sowizdrzał...

L e o n.

Upewniam cię szczerze,  
Będę, będę ci służyć najchętniej w tej mierze.

## MAMA I CÓRA MAMY.

O S O B Y:

Pani mama. — Panna córka. — Pan Stanisław.

S C E N A I.

*Rzecz dzieje się w Ciechocinku, w salonie mamy, (właściwie  
w salonie Mullera).*

Pani mama — (sama).

Oh! za długo jestem wdową,  
Raz już za mąż wyjść mi trzeba,  
Nie brak groszy... nie brak chleba,  
A i partyę mam gotową.  
Lat czterdzieści!... wielkie rzeczy,  
Toć żem młoda nikt nie przeczy!  
A Staś... miłe, miłe dziecię,  
Lat dwudziestu niema jeszcze,  
Lecz mężczyzną jest już przecie.  
On ma rozum, serce wieszczę...  
On oceni moje chęci,  
Ba! pokocha bez pamięci.



S C E N A II.

**Panna córka** (wchodząc prędko.)

A wie mama, ... ja się trwoże,  
Staś dziś poznał porucznika!...  
Ten wypaple mu co może,  
Aż mię zimny dreszcz przenika.  
Już sądziłam że go złowię,  
Teraz, kto wie, tak, tak, kto wie?

**Pani mama.**

Tam do licha!

(*słychać nadchodzącego*)

On tu idzie,

Zostawże mnie z nim we dwoje,  
Ja zaradzę jakoś biędzie,  
Ukartuję szczęście twoje.

**Panna córka.**

Dobrze, dobrze, moja mamo,  
Pozostawię cię z nim samą. (*wychodzi*)

S C E N A III.

**Pani mama** (do Stasia wchodzącego).

Pan Stanisław!—witam pana!  
Rozmawiałeś dzisiaj z rana,  
Z półkownikiem?

**Stanisław.**

Oh!... nie pomnę...

Lecz w tej chwili ważne sprawy,  
Każą jechać do Warszawy,  
Interesa to niezłomne.  
Więc zmartwiony strasznie, srodze,  
Żegnać panią dziś przychodzę.

**Pani mama.**

Jakto żegnać?... co to znaczy?  
Ależ panie! jam w rozpaczy...

Bo ty nie wiesz... w pierwszej chwili  
Myśmy serca połączyli!...  
Ja cię kocham!...

**Stanisław** (n. s.).

Co ta plecie?...

**Pani mama.**

Najnamiętniej kocham w świecie!  
Ty tyranie!...

**Stanisław.**

Ależ pani!...

W zamian przyjm szacunek w dani.

**Pani mama.**

Co szacunek? precz tygrysie!

**Stanisław** (n. s.).

Najwidoczniej zdaje mi się,  
Że ta jejmość oszalała.  
Wiem że córka... lecz że ona,  
Ha szalona!... tak, szalona.

**Panna córka** (która ciągle podsłuchiwała podedrzwiami, wpada).

Jakto mama?... kocha ciebie,  
Chce cię mężem mieć dla siebie?...  
Piękne rzeczy... a więc zgoda...  
Mama stara, a jam młoda,  
Więc wybieraj!

**Stanisław.**

Już wybrałem.

Obie panie pokochałem,  
Więc uciekać muszę biedny,  
Bo nie mogę wybrać jednej!  
Żegnam! żegnam umrzeć wolę  
Niżli rogi czuć na czole. (*wybiega*)

**Panna córka.**

Tak to mamó?

**Pani mama.**

Głupiaś... cicho!

Dało lichó... wzięło lichó!

## **BISMARCK W SPÓDNIICY.**

KOMEDIA W TRZECH AKTACH KU ZBUDOWANIU  
LATWOWIERNYCH MEŻÓW.

### A K T I.

*Salon. W tłumie zebranych spotykamy pana Domyślnickiego, śliczną jego małżonkę i Leona literata bez określonego stanowiska.*

### S C E N A I.

**Leon i Marya wdali Domyślnicki.**

L e o n.

Pani Maryo! uśmiechaj się pani; ciekawe spojrzenia śledzą nas od chwili, a bladeść twój twarzy zdradza rozmowę naszą. Bądźmy swobodni.

M a r y a.

Smutek mój leży w interesie naszym. Uśmiecham się jednakże, czy dobrze?

L e o n.

Prześlicznie, prześlicznie, naznaczasz mi więc godzinę...

M a r y a.

Piątą...

L e o n.

Dziękuję. (odchodzi)

A K T II.

*W mieszkaniu Domyślnickiego.*

SCENA I. (Zegar bije trzy kwadranse na piątą).

Domyślnicki i Marya.

Domyślnicki.

Maryo! ten młody człowiek na wczorajszym balu admiro-  
rował cię bardzo...

M a r y a.

W istocie! a nawet grzeczności swoje posunął do imper-  
tynencyi.

Domyślnicki.

Jakto? więc śmiał może mówić o miłości — więc...

M a r y a.

Oh! on się więcej ośmielił jeszcze.

Domyślnicki.

Więcej się ośmielił jeszcze... o mów, mów, wierna mał-  
żonko moja!

M a r y a.

Oh! tak więcej... oto...

Domyślnicki.

Oto?...

M a r y a.

Oto nazaczył mi schadzkę...

Domyślnicki.

Schadzkę!!!

M a r y a.

Tak schadzkę — dziś o piątą w Szwajcarskiej Dolinie.

Domyślnicki.

W Szwajcarskiej Dolinie — nieszczęśliwa i cóż?

M a r y a.

Ha nie! przyjąłam zaproszenie.

Domyslnicki. .

Przyjęłaś? wiarołomna!

M a r y a.

Ach! jakżeś niedomyślny... Na schadzkę pójdziesz ty...  
Tak! ty dla pomszczenia naszej zniewagi.

Domyslnicki.

Prawda! O ty nieoceniona, ty wierna małżonko moja!  
Idę... biegnę... Zbrodniarzu pomszczę się... pomszczę...  
(wybiega).

### A K T III.

Marya, później Leon.

M a r y a.

Ha! ha! ha! jaki on głupi. Zdaje mi się, tak Leonie!

Leon (wchodząc).

Maryo! jesteśmy sami?

M a r y a.

Sami. — Mąż mój poszedł cię zabić.

L e o n.

Zabić? nie rozumiem. Mogłażbyś wykryć mu naszą miłość?

M a r y a.

Nie. Powiedziałam tylko żeś naznaczył mi schadzkę  
w Szwajcarskiej Dolinie. To wszystko.

L e o n.

Na Boga! i po cóż — po cóż to zmyślenie?

M a r y a.

Po co? po to... po to... żeby był zdala od nas w tej  
chwili.

L e o n.

Oh! ty! aniele mój słodki.

M a r y a.

Oh! ty!

L e o n.

O ty!—I wiele jeszcze „O ty!“ zakończyło efektowny ten  
obraz.

## O różnych rzeczach i wielu innych.

---

Rok 1874 wyraźnemi literami zapisał się w księdze naszego społeczeństwa. Za stosowne uważamy, poważnie zaznaczyć co zaznaczenia godne.

Wystawa rolnicza była świetną. Nie przepych, choć i tego niebrakło tam może, ale dobre chęci wystawców zrobiły wiele. Bramę wchodową w symbole rolnicze, przystroiła fabryka p. Ejchlera i spółki, która wyznajmy szczerze dobrze zasługuje się publiczności. Nie dziw więc że wyroby jej, jako to taczki, łopaty i narzędzia do remontu dróg żelaznych, i t. p. na srebrny zasłużyły medal. Fabryka ta miejscowy materyał w przeróbce naszego robotnika daje. Dalej a raczej na wstępie samym, p. Herman Goldenring, pięknie prezentował narzędzia rolnicze. Przedstawił nam żniwiarki, siewniki, młockarnie wszystkich systemów, co o działalności p. H. Goldenringa dobrze przemawia. To też p. Goldenring otrzymał kilkanaście nagród w formie dyplomów i listów pochwalnych. Następnie fabryka p.p. Lewenstein i Rau bogato przedstawiła wyroby krajowe, za co słusznie złotym nagrodzona medalem.

Niemniej świetnie wystąpiła fabryka p. Ostrowskiego, nagrodzona również złotym medalem. W budynku tym fabryka p. Ejchlera i spółki prezentowała swoje wyroby, jako to: okucia do budowli strojnej i skromnej konstrukcyi, odznaczające się dobrocią i taniością, a to w obec ciężkich warunków bytu najważniejsze chyba przymioty.

Budynek pana Handtkiego pełen różnaitości przedstawiał widok. Było tu wszystko, właściwie więcej niż być powinno bo, nawet... baki i ich twórcy, a prezentowali się tu ślicznie w wyrobach garbarskich p.p. Temler i Szwe-de. Tu też i pan Fryderyk Temler (syn) wystąpił świetnie z własnymi fabrykatami: pasów, tkanin metalowych, jako też co szczególną zwracało uwagę, to maszyny do czyszczenia i sortowania zboża własnego pomysłu, przy-tém gaza metalowa, zastępująca korzystnie jedwabną dla młynów. Co też sędziowie uznali godném najwyższej nagrody w tym dziale, zapracowanój istotnie. Pan Temler młodzian dwudziestoparoletni, prowadzi fabrykę swoją, jako zupełny specjalista.

Tu także pan Rüll wystawił własnej pracy misterne biurko (antique), na które wiele czasu i pieniędzy poświęcił. Nagrodzony podziękowaniem komitetu.

Budynek ten był licznie odwiedzany przez pleć piękną; było tu bowiem parę luster. Pan Louis Szlezyingier, namiot przystroił z gustem.

Wypada dodać że pan Szlezyingier pierwszy w Warszawie obniżył cenę maszyn, czém naturalnie przysłużył się bardzo ubogiej ludności naszego miasta.

Namiot — budynek raczej pana Adolfa Troetzera, gustownie rzucony na wystawnym placu ściągał licznych znawców. Machiny, pompy, sikawki pożarne, pompy do studzien artezyjskich i zwyczajnych, wszystko to wyrobione na miejscu, przynosi zaszczyt panu Troetzerowi i jego fabryce. To też przy odbiorze nagrody (medalu) publiczność oklaskami podziękowała fabrykantowi, za jego użyteczną działalność.

Z przyjemnością zaznaczamy fakt, że pan Herkner, znany litograf w Warszawie, do prac swego fachu, zastosował rodzinne kamienie. Publiczność otaczała też licznie namiot pana Herknera, w którym na uproszczonej prasie litograficznej, odbijano z krajowych kamieni właśnie, pamiątkowe widoki wystawy, na jedwabnych i perkalowych chustkach. Tak więc panu Herknerowi zawdzięczamy ogromną oszczędność—bowiem eksploatując nasze kamienie, uwolni nas z czasem od ogromnego haraczu, opłacanego dotąd ościennym Niemcom.

Dział trzeci również przedstawiał się świetnie. Tu przeważnie amatorowie piwa, admirowali... piwo, jakiego co prawda dawać nam nie raczą — miejscowe, piwodajne zakłady.— A kiedy mówimy o piwie, musimy dodać, że i na tej drodze Warszawa robi postępy. Pan Zygmunt Szeligowski właściciel browaru, piwowar, wyrabia porter, który podobno nie ustępuje angielskim. Tak utrzymują warszawscy anglicy. Jeżeli tak jest istotnie, to tym sposobem miasto zyska nieco, bo różnica cen, angielskiego— a pana Szeligowskiego portera, jest ogromna.

Namiot hrabiego Ludwika Krasińskiego, był niejako sam przez się wystawą. To mi gospodarstwo! Prawda że nakładać można, kiedy kiesa pełna, z tym wszystkim pan hrabia Ludwik Krasiński, dał nam obraz obywatelskiego bytu — i gospodarczej działalności, taki, że sąsiedzi z nad Sprei kornie pochyłili głowy. To też niedziw, że komitet sędziów, nagrodził hrabiego dziewięciu czy dziesięciu medalami, złotymi, srebrnymi, brązowymi, oprócz listów pochwalnych i podziękowań — publiczność cała przeciągłemi oklaski, dziękowała hrabiemu, że mimo wysokiego położenia w świecie pracuje dla ogólnego dobra.



Dział bydła reprezentowany był licznie i pięknie, co świadczyło jawnie o dobrych chęciach gospodarzy rolników.

W dziale tym, między innymi widzieliśmy cielę od krowy — wystawcą był p... (wybaczy nam czytelnik ale niepamiętamy nazwiska), wiemy tylko, że cielę to pochodziło z Warszawy, z młyna parowego na Lesznie. Owóż cielę to zwróciło uwagę sędziów i zostało nagrodzone — ale jak... pięciu, wyraźnie pięciu rublami. Właściwszém zapewne byłby tu list pochwalny. W tém miejscu uskarżyć się musimy na małą liczbę listów — albo skąpe udzielanie tychże — jako téż na usunięcie działu przemysłowego od nagród, który bądź co bądź, przyczynił się wiele do uświetnienia wystawy i z gospodarstwem rolném musi iść w parze.

W dziale ogrodowizny i zboż w ogóle, widzieliśmy uderzające postępy, to téż pracownikom na téj drodze zasłały serdeczne: szczęść Boże!

Zamykamy to zaznaczenie o wystawie, bowiem, codzienne i tygodniowe pisma nasze dokładnie opisały wszystko — a natomiast zaznaczymy znowu, fakt bardzo doniosłej treści. Fundusz ś.p. Staszycy, dzięki energicznej działalności, tych od których to zależało, leżał spokojnie dotąd i leżałby dalej jeszcze — lubo do miliona już podrosł, gdyby nareszcie tu i ówdzie nieodezwały się głosy. Na jaki cel właściwie zużytkowanym będzie, to przyszłość, nie daleka już chyba, odkryje. Życzyć wypada, aby zużytkowany był według życzeń wyraźnych godnego naśladowania dobroczyńcy.

I Wisła, poczciwa nasza Wisła rozgniewała się na panów piwowarów warszawskich, którzy widocznie naduży-

wali jej dobroci, bo wyszła w ostatnich czasach i koryto nawet zamierzała zmienić, uderzając całą resztą swego prądu na brzeg pragski, ale pan Daniszewski wypowiedział jej wojnę... kosztami, skutek czego pokazał się wkrótce, że chociaż nie koniecznie *koszykowe*, tamy jednak właściwie zbudowane i w odpowiednich miejscach zastosowane, mogą brzeg Wisły od punktu tamy koszowej w prostą linię w górę rzeki do ostatnich kolonii Saskiej kępy uregulować, i znaczną przestrzeń gruntu, z pod powierzchni wód wydobyć. Na uwagę, jakie są tamy właściwe, odpowiadamy. Przed 25-ciu laty Wisła miała podobne prądy i odmęty na całym brzegu warszawskim od bulwarku soleckiego do mostu, a zwłaszcza wprost obecnych Wodociągów. O terażniejszym *korycie* piasku nikt nie marzył. Rzeka czynność swą omywania brzegów (czytaj: brudów) miasta spełniała należycie. Naraz wprowadzono kilka silnych tam faszynowych w rzekę, i cały nurt rzeki przeniósł się pod Pragę, reszty dokonały tratwy drzewne, płaskie galary, łazienki letnie. Potrzeba więc tam na brzegu przeciwnym, a rzeka powróci do naszego brzegu.

Z nowin na czasie wiemy tyle, że większa część domów w Warszawie należy do panów piekarzy, którzy gdy zboże drogie, sprzedają chleb drogo; — gdy zboże tanie, sprzedają chleb drogo — a kto tu zyskuje?

Wspomniawszy o domach trudno zamilczeć o ich właścicielach i mieszkańcach; dosyć powiedzieć: że pokój z przedpokoikiem i kuchenką, w roku pańskim 1874 płacił się rs. 390 rocznie — gdy tenże sam lokal w roku 1870 płacił się wyraźnie 133 ruble. Czyż postęp tu nie uderzający? ?

W zamian znów, serdecznie zaznaczamy okoliczność, że pogłoski, jakoby fabryka tabaczna „Union,“ odprawiała polaków dla zastąpienia ich Niemcami, jest tylko brzydką złośliwością wymierzoną na szkodę fabryki, która się dobrze zasługuje przemysłowi i ze wszystkimi europejskimi walczy o lepsze. Fabryka ta bowiem zajmuje 700 miejscowych robotników, właściwie 700 rodzin utrzymuje w mieście, czem słusznie prawa obywatelstwa<sup>3</sup> zyskała. Nie badamy, z kąd powstało źródło uwłaczających wieści, to pewna że zazdrość zrodziła je w celu.... niepotrzebującym komentarzy. Zła wola tym razem nie odniosła skutków, bowiem na miejscu rzecz się wyświetliła i żałować trzeba, że niektóre z pism naszych a właściwie pism tych reporterzy, zbyt pochopnie chwytają grasujące plotki. Sprawiedliwość podyktowała nam te słowa, bo taka fabryka zasługuje tylko, nie na potwarze i plotki, ale na sympatyę i uznanie.

# F R A S Z K I.

---

## W SZKOLE.

Profesor. Jak się nazywa ten człowiek, co przez cały dzień boży myśli tylko o jedzeniu, piciu i rozmaitych innych przyjemnościach?

Uczeń. Jasiński.

Profesor. Co za Jasiński!

Uczeń. A ten co ma restaurację w Szwajcarskiej dolinie.

---

## SZCZEROŚĆ.

Pan do nałogowego pijaka. Wiesz przecie, że kłamstwo jest grzechem. Powiedz mi przeto o czém ty myślisz, kiedyś nie pijany?

Służący. A no, to już o tém, jakby się upić, wielmożny panie.

---

## N A U L I C Y.

Chłopiec. Proszę pani!... znalazłem kok, co pani zgubiła w tej chwili.

Pani. Dawaj! dawaj! dziękuję ci mój mały, ale nie mam nic drobnych.

Chłopiec. Tak... to proszę pani...

Pani. No i czego chcesz jeszcze?

Chłopiec. Chciałem żeby mi pani pozwoliła się spytać... czy to żona barana nazywa się owca?

Pani. To śmieszne — i cóż ci z tego pytania?

Chłopiec. Bo to widzi pani, pan majster mówi, że jak mężczyzna zgubi głowę, to jest baranem.

---

## W kawalerskiem mieszkaniu.

Szum. Co pan miśli o naszym długi?

Leon. Myślę, myślę, kochany panie Szumule, że jak tylko się ożenię, to ci go zaraz wypłacę.

Szum. A kiedy się pan ożeni?

Leon. Niedługo... niedługo... ale...

Szum. Ale...

Leon. Ależ... najprzód wynaleźć sobie muszę...

Szum. Ja panu co powiem. Jeżeli pan zechce, to ja panu podam jedną partyę. Ja już mam.

Leon. Jakto, masz kobietę, a mówże mi o niej. Czy bogata?

Szum. Oj! oj! oj! i jaka bogata!...

Leon. Czy młoda?

Szum. Co prawda, to ona nie bardzo młoda... ale...

Leon. Czy ładna?

Szum. Co prawda, to ona nie bardzo ładna... ale...

Leon. Panna?

Szum. Co prawda to ona nie bardzo panna... ale...

Leon. Więc któż jest u licha ta twoja protegowana.

Szum. To jest ta obywatelka... pani Agrypina... co to na przeciwko...

Leon. A zlituj się panie Szumule — toż ona mogła by być moją babką.

Szum. Ja to wiem, ale co to szkodzi, będzie ją pan kochać jak babkę... przecie za pieniądze, czy tak kochać, czy tak kochać, to zupełnie wszystko jedno.

## Powitanie guwenera.

**Pani.** Wnosząc z rekomendacyi... to pan i tu również chwalebnie postępować będziesz?

**Nauczyciel** (*kłania się*). Będę się starał dogodzić łaskawej pani!...

**Pani.** A ile masz lat mój młody nauczycielu?

**Nauczyciel** (*skromnie*). Kilka lat dzieciństwa, kilkanaście pracy — i — ani dnia uciechy.

**Pani** (*żałośnie*). Oh! to ci przy mnie będzie dobrze, mój młody przyjacielu.

---

## NA ULICY.

**Pan Adolf.**

Sposepniałeś mi jakoś... cóż ci to u licha?

**Pan Michał.**

Mam zmartwienie i kwita...

**Pan Adolf.**

Jakież znowu treści?

**Pan Michał.**

Dowiedz... się moja żona potulna i cicha,  
Lecz szatan tam zrozumie, charakter niewieści.  
Kochała mię tak szczerze, że to nie do wiary,  
A przecie, wykradł mi ją przyjaciel mój stary.

**Pan Adolf.**

Do diabła! to nie tego, ale wiedz kolego,  
Że w tém jeszcze nie widzę, dalibóg nic złego.  
Jam się rad pozbyć mojej — ty tęsknisz za swoją,  
Oto wiesz co! na pociechę wykradnij mi moją.

---

## Na popisie.

**Nauczyciel.** Jakaż więc odległość ziemi od księżyca?  
**Uczeń.** Półtrzecia łokcia panie profesorze.

**Nauczyciel.** Co pleciesz ośle! co półtrzecia łokcia?

**Uczeń.** Bo pan profesor nie jest wyższy przecie.

**Nauczyciel.** Półtrzecia łokcia? — ja nie jestem wyższy?  
Co przez to rozumiesz smarkaczu?

**Uczeń.** Rozumiem — że pan profesor zupełnie łysy — a to się przecie księżycem nazywa.

---

## U f o t o g r a f a .

**Dama.** Łaskawy panie. Ja z tych biletów zadowolona nie jestem. Tu oczy jakieś śmiejące, zalotne — a mąż mój nie lubi podobnego wyrazu twarzy.

**Fotograf.** Co prawda to nie moja wina. Jeżeli jednak pani sobie życzy, możemy zrobić powtórnie.

*(w kilka dni)*

**Dama.** Tak, to zupełnie co innego, powaga... i zamyślenie... Bądźże pan łaskaw! tych ostatnich zrobić mi tuzin... pierwszych zaś... tak... ze cztery tuziny.

---

## W p o k o j u .

**Jaś.** To pan guwerner! a dla czego nie idzie pan do mamy?

**Nauczyciel.** Bo mama nie ubrana moje dziecię.

**Jaś.** A to co?... przecie i pan August był guwernerem, a mama nie wstydziła się go wcale?

---

## SCENA W SALONIE.

**M a m a .**

Powinnaś już rozumieć, że celem kobiety,  
Wyjść za mąż, wyjść bogato... a sędzia

**M a n i a .**

Niestety!

**M a m a.**

Chociaż ma lat pięćdziesiąt, cóż to za przyczyna,

**M a n i a.**

Ależ mamó, pan sędzia. ma młodego syna,  
Który kocha się we mnie . . .

**M a m a.**

Oh! ludzka ślepoto!

Tém lepiej . . . syn dla serca . . . no a papa . . . złoto.

---

## W KAWALERSKIM MIESZKANIU.

NAJPRAWDZIWSZA KOMEDIA W 1-ym AKCIE.

---

### OSOBY.

KAZIO lat dwadzieścia dwa.

WICIUŚ lat dwadzieścia jeden.

ANTOŚ [rówiennik obu].

ARTUR [przyjaciół tych przyjaciół].

JUSTYN [rycerz, przyjaciel wszystkich].

KOMORNIK.

SWIADKOWIE.

PRACZKA, Kazia i Wicusia.

### Mieszkanie Kazia i Wicusia.

*Za otwarciem kurtyny, zegar w sąsiednim rozumie się mieszkaniu,  
bije dziesiątą.*

**Kazio** (przecierując oczy).

Niech piorun spali, takie nędzne życie,  
Niech diabeł porwie pijaków i picie,  
Łeb wściekle boli — człowiek drży jak liście,  
Z tego Justyna waryat oczywiście . . .  
Tak nas pochłapać . . . .

Justyn (podnosząc głowę z podejrzanej czystości tapczana).

Wicku! co on mrueży.

Wicek.

Wstrzemięźliwości łaskawie nas uczy,  
A ręczę nim południe nastąpi, znów będzie  
Łykał z absyntem czystą.



Artur (usiłując daremnie się podnieść),

W tym względzie

Wicek może ma racją — idzie tylko o to,  
Że już w kieszeniach naszych pustki, albo błoto.

Justyn.

Eh! że pustki, to jawne i niesporne rzeczy,  
Lecz ja macham do matki, a nikt nie zaprzeczy;  
Że wnet ruble się znajdują...

Wicek.

To mi przypomina,  
Piosnkę którą mi zawsze śpiewała dziewczyna:

*(zrywa się z łóżka i aktorską przybrawszy minę nuci...*

Ujrzałem raz kobietę pijaną,  
Ujrzałem jak wyrzucił ją stróż,  
Wprawdzie że....

Antoś.

Za pozwoleniem — pukają do drzwi — to do nas.

Kazio.

Naturalnie. Wszak mamy zaszczyt zajmować strych cały.  
A kto tam!

Głos (za drzwiami). \*)

Otworzyć w imieniu prawa.

Kazio.

Komornik, jak mi Bóg miły komornik. Hej! dzieci palta na siebie (*głosnie*). Zaraz, zaraz łaskawy panie, musimy ubrać się przecie na przyjęcie takich odwiedzin. Przedstawię szanownemu panu palta nasze, które co prawda, lepiej wyglądać będą na naszych grzbietach, niż w rączkach szanownego pana. Już, już... prosimy.

---

\*) Wiedząc, że panowie komornicy nie zwykli bawić się w poezję, scenę więc tę piszemy już prozą.

**Komornik** (wchodząc).

Ha! ha! piękną spotykamy gromadkę — istną, istną młodzież . . .

**Wic u ś.**

To wszystko szanowny panie, dla zrobienia mu należnej oszestentacyi (*śpiewa*):

Wszystko Krysiu będziesz miała,  
Czego tylko będziesz ehciała.  
Jedwabie, aksamit i złoto,  
Moja perło! moja cnoto!

**C h ó r.**

Moja perło! moje złoto!

**Komornik.**

Dobrze, — ale moi panowie tu wcale nie o to . . .

**Wic u ś** (przerywa).

Za pozwoleniem! panu komornikowi nie o to idzie, a więc za pozwoleniem (*śpiewa*):

Niechaj smutek się rozproszy,  
Choć nie mamy wcale groszy,  
Każdy palto ma i buty  
A komornik, widać z miny,  
Opijałnik sprawi suty,  
Niech Temidy żyją syny.

**C h ó r.**

Niech Temidy żyją syny!

**Komornik** (dobywając pieniądze).

Owszem podobacie mi się panowie bardzo — ale interes urzędowy.

**Kazio.**

Urzędownie upewniam pana, że ja i moi koledzy, jesteśmy uczciwie uczciwi i natychmiast zapłacimy gospodarzowi — jeżeli pan naturalnie pożyczyć nam zechce.

**Komornik** (śmiejąc się).

Cóż robić z panami, muszę was pożegnać.

Justyn.

Tak prędko i nie pić nie będziemy.

Komornik.

Owszem — ale kogo posłać.

(*We drzwiach ukazuje się praczka*).

Wicus (śpiewa)

Otóż idzie nasza pani.

Jabym wszystko oddał dla niej:

Bo obszywa i opiera

A że darmo prawda szczera.

Chór.

A że darmo prawda szczera.

Praczka (zapruszona już nieco śpiewa).

Oj! ze złota to panicze,

Prawda jak se szczęścia życzę.

Niegdyś grube grosze mieli,

Dziś stracili i weseli.

Chór.

Dziś stracili i weseli

Jednak diabli ich nie wzięli,

Jednak diabli ich nie wzięli,

---

## W BIÓRZE POWIATOWEM.

(AUTENTYCZNE).

**Urzędnik** (*do wieśniaka w podeszłym wieku*). A czego chcecie stary!

**Chłop.** Wielmożny panie! już całe życie modlić się honde—żeby mi ino Wielmożny pon pomógł w turbacyi.

**Urzędnik.** Mów więc o co ci chodzi.

**Chłop.** A to wielmożny panie, moja baba powiła mi syna, wszycko mi się widzi że to nie mój—a jabym chciał żeby to był mój.

Urzędnik (*śmiejąc się*). A jakże ja poradzę ci na to?  
Chłop. Już ja ta niewiem—ino chcę żeby to był mój.  
Urzędnik (*śmiejąc się ciągle*). No czekaj. Napiszę do wój-  
ta—a on ci już powie, że to jest twój.

---

### ZAPROSZENIE NA ZABAWĘ.

„Jutro, to jest dnia tego... w tym to a w tym domu,  
Będzie bal przyjacielski stary i dziecinny;  
Gdzie bez surdutów wchodzić niewolno nikomu,  
A damy znów w pończochach koniecznie być winny.“

---

### DO CZYTELNIKÓW.

Zamykam już Podarek — czym doszedł do mety,  
Czym okraślił pogodą zachmurzone czoła,  
Czy chociaż jeden uśmiech praca ta wywoła.  
Nie wiem — bowiem usterki pojmuję niestety...  
Ale cóż — w walce z życiem o uśmiech trudno,  
Ile widzimy śmieszności, tyle łez, niedoli...  
A dotknąć którejkolwiek to serce zaboli,  
I myśl choć najweselsza musi stać się nudną...  
Lecz jeżeli względnie czytać raczycie te karty.  
Za względność już serdecznie będziemy Wam dłuźni;  
I w zamian przyrzekamy wcale nie na żarty,  
Że weselszy Podarek złożymy Wam później.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 11

00-117 00-117

Tel. 22-88 22-31 22-42



<http://www.pan.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>



# DRUKARNIA J. KORZENIEWSKIEGO

W WARSZAWIE.

przy ulicy Śto-Jerskiej Nr. 12 nowy.

F  
418

Zaopatrzona we wszelkie nowe przyrządy do druku, oraz znacznym dobozem rozmaitych czcionek na roboty polskie, ruskie, niemieckie, francuzkie i in. jest w możności zadość uczynić wszelkim wymaganiom Szanownych. interesentów, tak pod względem starannego, jak pospiesznego i umiarkowanego w cenie, wykonywania wszelkich robót drukarskich, od najpoważniejszego zakresu dzieł, pism peryodycznych, aż do adresów, rachunków, cenników, cyrkularzy, tabell, kwitaryuszów, assygnacyi, kontraktów, etykiet wszelkiego rodzaju, dla *domów handlowych, przemysłowych.*

## Nakładem tejże Drukarni wyszły dzieła:

*Rozenberg-Lipiński A.* **Praktyczne Rolnictwo**, zastosowane do racjonalnej uprawy roli, a oparte na studyach organicznej i nieorganicznej chemii, dla użytku podręcznego ziemian, tom I, (600 str.) z przedpłatą za II-gi obszerniejszy, wychodzący w 3-eh zeszytach rs. 4, z przesyłką rs. 4 k. 50.

*Teroy-Beaulieu P.* **Praca kobiet w XIX wieku.** Dzieło uwieńczone przez francuzką akademię nauk moralnych i politycznych w Paryżu, przekład z francuzkiego p. A. S. (320 str. w 16-ce) kop. 90, z przesyłką rs. 1.

*Grajnert Józef.* **Bajki i przypowiadki**, k. 25, z przesyłką kop. 30.

## POD PRASĄ:

*Majewskiego Karola.* **Wykład początków zasadniczych Rolnictwa, Historji naturalnej ziemiańskiej i ogrodnictwa**, podług wykładów w b. instytucie gospodarstwa wiejsk. i leśnictwa w Marymoncie. Dzieło to w 3ch obszernych tomach-około 120 arkuszy in 8-vo zawiera: Tom I. Zasady rolnictwa podług wykładu prof. Zdzitowieckiego w Marymoncie. Dodatki i uzupełnienia autora. Tom II. Historję naturalną ziemiańską, podług wykładu prof. W. Jastrzębowskiego obejmującą: Historję naturalną ogólną i mineralogię; botanikę ziemiańską, rolniczą, polną, łąkową, pastwiskową i leśną, zoologię i antropologię. Tom III. Ogrodnictwo. Sady i Sadownictwo. Dodatki i uzupełnienia.

Cena za całe dzieło ustanawia się **Rsr. 6** za egzemplarz, i osoby nadsyłające takowe do wydawcy mieć sobie będą przesłany tom I, a następne zaraz po wyjściu z druku.